№ 30. Warszawa, dnia 15 (27) Lipca 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Na drugiem piętrze, na którem mieszkał Bolesław, sień była obszerna a z niej prowadziły drzwi do pojedyńczych mieszkań złożonych z jednego pokoju. Do jednego z nich drzwi były uchylone: Stanisław z Janem zbliżyli się.

Pzy biurku siedział Bolesław z podpartą głową na rękach, obok stał mały fotelik jakby osoba siedząca na nim tylko co go opuściła. Na ziemi przy nim leżała biała chusteczka batystowa z wyszytą koroną i literami A. P. widocznie pozostawioną przypadkiem przy wyjściu pośpiesznem, roztargnionem, po przeprowadzeniu rozmowy gniew obudzającej. Tuż przy Bolesławie stał siwowłosy starzec, łysy, wąsaty w bekieszy sfałdowanej z tyłu; oba zwróceni byli plecami do wchodzących.

— Bolciu! mówił starzec trzymając rękę na ramieniu młodzieńca, synu mój kochany upamiętaj się. To obłęd, a pod wpływem jego działając narazisz się....

— Nie, ojcze, przerwał Bolesław, to głębokie poczucie, to głos Boży...

— Prędzej szatana.

— Nie bluźń starcze, odparł Bolesław gniewnym tonem i aż pięści ścisnął. Szatan przez was prędzej przemawia...

— Bolciu! Bolciu!, odezwał się starzec chwiejąc głową, i kogóż to pomawiasz o opętanie przez moc tego nieprzyjaciela rodu ludzkiego? Czyż godzi się...

Drzwi przypadkiem poruszane wydały skrzyp, Bolesław obejrzał się a Stanisław przytomny w każdem wydarzeniu, rozśmiał się głośno i wyciągając rękę do gospodarza zawołał jakby dopiero wszedł do pokoju:

— Jak się masz kochany Bolciu, przepraszam że ci czas zajmuję, ale przychodzimy do ciebie z prośbą razem z moim krewniakiem, o łaskawe nawiedzenie nas w nadchodzącą sobotę... ale cóż to... jakaś chusteczka obszyta koronką, zahaftowana, wyperfumowana? Prawdziwie zazdrościć ci należy towarzystwa właścicielki, która ją zapewne przed chwilą zgubiła.

Bolesław cokolwiek pomieszany, odebrał chustkę podniesioną przez Stanisława i nic nie mówiąc oddał ją starcowi, stojącemu w milczeniu pod oknem coś mu szepnąwszy.

— Na sobotę zatem, odezwał się Bolesław, z miłą chęcią jeżeli coś nie stanie temu na przeszkodzie...

— A! rozumiem, przerwał Stanisław z uśmiechem znaczącym, jestem przekonany, że jeżeli się przeszkoda znajdzie, to w ścisłym związku ze zgubioną tu chusteczką.

— Być może, ale w przypuszczeniach nie przesadzaj. Nie zawsze mamy humor odpowiedni do zabawy i rozmowy a ja częściej ulegam zniechęceniu jak kto inny.

— Daj pokój dziwaku, zniechęcenie to rzecz starości, a nam młodym żyć trzeba i łaknąć życia.

— I ja go łaknę, odrzekł Bolesław, bo któżby nie pragnął tego najpiękniejszego daru Bożego, ale chciałbym je urządzić w całej swobodzie ducha czemu uporczywie sprzeciwia się zapleśniały konserwatyzm...

— Daj mu prztyczka w nos Bolciu, przerwał Stanisław, i jak to mówią puść w trąbę!

— Nowe idee, wtrącił Jan czując się niejako w obowiązku dorzucenia swego zdania, domagają się gwałtem życia.

— Tak, domagają, a potrzeby naglą, potwierdził Bolesław, cóż jednak poradzi na uprzedzenie?

— Pal mu byka w samo czoło między uszy, niech kłapouch kopyta ustatkuje i nie wierzga! wrzasnął Stanisław i rozśmiał się pobudzając drugich do śmiechu. W parę minut potem pożegnano się.

— Przypadkiem, mówił Stanisław schodząc ze schodów, Bolcia zeszliśmy na gorącym uczynku. Kto jest ten starzec? Zdaje się być ojcem jego, ale dlaczego go nam nie przedstawił? Ta chusteczka to zagadka, ale ręczę że ją zgubiła ta karetowa pani. Ciekawym bardzo, czy pochwalił się przed nią że przed dziesięcio dniami zajadał kiełbaski na kępce z państwem Strużykami i zaglądał w oczy pannie Strużyczance. Pójdźmy teraz do Łepaka.

Wyszedłszy z bramy, w podwórzu usłyszeli jakąś wrzawę, krzyki i brzęk wybitej szyby z której szczątki spadły na ziemię z pierwszego piętra. Stanisław z Janem zastanowili się, spojrzeli w górę pragnąc zbadać przyczynę wypadku. Wrzawa i krzyki stały się jeszcze głośniejszemi, jakby osoby wydające je w ciągłej za sobą były gonitwie.

— A kogo to panowie szukają? zapytał stróż miejscowy z plecami jak pomost a twarzą jak księżyc w pełni.

— Idziemy do pana Łepaka, ale co znaczą te krzyki?

— A toć u niego takie hece wydziwia pani Łepakowa, mruknął stróż tajemniczo.

— Pani Łepakowa? powtórzyli z zadziwieniem młodzieńcy.

— A tak, już od samego rana. Co się uspokoi, to hajże jedno do drugiego i dalej po czubie. Albo to pierwszyzna.

— A i o cóż im idzie?

— Kat ich tam wie! odrzekł stróż obcierając twarz fartuchem i zniżając głos mówił dalej. Ktoś jej nabajał, że pan Łepak przed tygodniem czy dawniej, na Saskiej Kępie zabawiał się z kochanką, ot i wszystko, i jest tu o co tyle robić rwetesu że aż się kamienica trzęsie!

— Biedny Łepaczek!

— Zapewne że biedny, bo pani Łepakowa ma zamaszystą rękę. Ale to baby to wszystkie jak jedna, a chytre, a zazdrośne.

Niech spojrzę na którą, niech się uśmiechnę, jużcić zaraz moja leci mi z pazurami do twarzy, i zaraz: a ty elegancie, a ty umizgusie, a przysięga, a sakrament święty!

Na piętrze rozwarły się szybko drzwi, uderzyły z łoskotem o ścianę, ozwały się dwa głosy wzajemnie łające się i wykrzykujące, schody zadudniły, zbiegł z nich Łepak czerwony jak burak, w ślad za nim najprzód spadła miotła a potem mały stołeczek turkocząc się szybko po schodach. Łepak zapinając się przebiegł przez bramę nie widząc stojących w niej znajomych i to tak szybko, że go nawet Stanisław nie miał czasu zaczepić.

— Pójdźmy do tej jędzy Łepakowej, odezwał się, trzeba jej powiedzieć słowa prawdy.

— Ej! dać pokój, mruknął stróż z filuternym uśmiechem. Baba ma taką ciętą rękę że niech ją kaczki zdepczą.

— Przecieć bić się z nią nie będę...

— A i cóż to znaczy? Kiedy jeszcze nie była panią Łepakową i wyprawiała takie same termedye, tak ja rzekę, pójdę do niej żeby się przyciszyła. A i powiedziałem, a ona mi drzwi ręką pokazała i mowi: won! A ja rzekę, pani won a nie ja. Ona stukła nogą i krzyknęła: a ty szubrawcze! Ja też rzekłem: tyś taka owaka! A ona panie dobrodzieju, jak mnie nie trzaśnie z jednej strony, jak nie poprawi z drugiej, ja do niej, a ta do oczów, ja mrużę a ona wali, zasłaniam się rękami a ona tnie szczotką po palcach, uchylę je to znowu twarzy nie daje spokoju. Kiedym potem dyrdał ze schodów, to tak samo wyrzuciła za mną miotłę i stołeczek, ale żem nieskoro uciekał dostało mi się i od niego. Pan Łepak to skika po dwa schody...

Po takiem objaśnieniu Stanisław stracił ochotę do interwencyi.

— A to Łepak, rzekł wychodząc z bramy, w obrotach prawdziwie pozytywnych.

— Nie zazdroszczę mu, szepnął Jan, jakże jednak mógł żenić się z tak ordynarną kobietą?

— Uległ biedak okowom starego świata, odrzekł Stanisław wzdychając, i teraz rad nie rad musi dźwigać jarzmo małżeńskiej szczęśliwości.

Rozdział XXVII.

— Z Łepakiem źle nam poszło, mówił Stanisław, za to poznasz Głowacza który jeżeli nie naprawi tego co się w świecie popsuło, to już chyba nikt tego spełnić nie potrafi. Co to u niego za pomysły, a jak rąbie starych niedołęgów to aż skry lecą. Z Łepakiem trzymają się za ręce, co jeden rąbnie to drugi ukąsi, słów nie obwijają w bawełnę, czasem co prawda przesadzą ale zawsze to ciekawe i zabawne.

Głowacz z czarną bródką i wąsami, siedział przy stoliku i zajęty był pisaniem. Kiedy usłyszał otwierające się drzwi, nie odwracając się od stolika zawołał:

— Poczekaj chwilkę, zaraz skończę.

Stanisław dał znak Janowi aby usiadł przy nim na kanapie. Głowacz na chwilkę nie przerywał zajęcia, papier skrzypiał, pióro pryskało, czasem zniecierpliwiony rzucał jedno i zaraz chwytał za drugie ale pisał bez przerwy pomrukując coś niewyraźnie. Wreszcie skończył, przerzucił oczami po rękopiśmie i zwracając się do drzwi zawołał:

— Myślałem, że to z drukarni przyszedł chłopiec, przepraszam....

— Nie chcieliśmy ci przerywać, odrzekł Stanisław i przedstawiwszy Jana mówił dalej: zapewne jaka nowa rąbanina.

— Zgadłeś, przerwał Głowacz i syczącym głosem bardzo zbliżonym do tonu mowy Łepaka dodał: jest to rzeczywiście rąbanina która narobi wielkiego hałasu. Pogańską cześć dla wielkości wcale na to nie zasługujących, musimy zetrzeć na miazgę, bo naród póty się nie rozcuci z senności, dopóki nie zdruzgocze swych półbożków którym wystawił ołtarze.

— Masz słuszność, wal ich ani pytaj, kładź w trumnę niepamięci jednego po drugim, naród oceni waszą odwagę cywilną.

— Już ją ocenił, czyta nas tysiące, chwali, podziwia, przerwał Głowacz, im się dosadniej wyrażamy, tem oklask szczerszy i głośniejszy...

— Tylko bardzo nie przepieprzajcie, odezwał się Stanisław trącając nieznacznie Jana na znak, że umyślnie się sprzeciwia Głowaczowi aby go rozpalić w rozmowie. Są bowiem nawet wielcy wasi zwolennicy, którzy robią wam zarzut przesady....

— Przesady! przerwał Głowacz zrywając się z krzesła i uderzając pięścią w stół. Kłamstwo wierutne! Każdemu należy właściwa nazwa. Osła trudno nazywać słoniem a ciemięgę orłem, a to wszystko osły, ciemięgi, niedołęgi, marzyciele, zababrani w swojem głupstwie jak w bagnie trzoda nierogata. Na przedstawienie szkód jakie sprawili nie ma słów dość jasnych w mowie ludzkiej. Są to wszystko trupy którym gwałtem się zdaje że żyją i ludzkość całą do wrót szczęścia prowadzą, gdy tymczasem wiodą ją do grobu aby w nim żyjące wyciągali ręce do mary dawno pogrzebanej.

— Dzielnie Głowaczu dowodzisz, lubię dosadność twego słowa którem walisz jak bydlę obuchem w jatce rzeźniczej. Są jednak co powiadają że to zazdrość...

— Zazdrość! wybuchnął znowu Głowacz i śmiejąc się z największem szyderstwem mówił dalej: ciekawym co im mamy zazdrościć Czy tej nicości umysłowej jaką wykazujemy w całym ich zawodzie literackim? Czy powagi uzurpowanej, czy wieńca sławy przez głupców im przyznanej? Naturalnie podobać się to im nie może, gdy ich bez pstrociny arlekińskiej stawiamy pod pręgierzem opinii publicznej, ale na to nie ma rady, muszą albo umrzeć albo odrodzić się....

— Oj! żeby umierając mnie zrobili sukcesorem pozostałej po nich spuścizny, to bym im...

— Wszystko to hołysze, przerwał Głowacz z pogardą. Marzyli, tracili, chuchali w ręce. Ale nie mówmy o nich bo mnie to do ostatniej doprowadza niecierpliwości.

— Niech ich sęk zdusi...

— Byle jak najprędzej....

— Powązki obszerne...

— Postawimy im pomniki ze składek...

— I napiszemy płaczliwe nekrologi...

— U każdej litery z kapką łez jak....

Śmiech ogólny zakończył dalsze dowcipki, Jan również uśmiechał się ale z pewnym przymusem, Głowacz wpadł w wyborny humor.

— Cóż tam u was słychać na wsi panie Janie? zapytał po chwili.

— Nic ciekawego...

— Sieją i orzą, przerwał Stanisław, młócą i przedają a potem narzekają że pustki w stodole i w kieszeni.

— Świat to zakuty! syknął Głowacz, jak dom zabity okienicami i skazany na ruinę. Na uparte to plemię trzebaby harapa.... i to dobrego. Chłoszczemy go ale co tu słowa pomogą kiedy ich prawie nie czytają. Wyrzuciliśmy już tyle skarbów myśli, tyle rad zbawiennych wygłosiliśmy, tyle projektów gospodarstwo społeczne mających na celu ułożyliśmy, a czy który z nich został wykonany? Przeczytają, pochwalą i na tem kończy się wszystko.

— Trzebaby ostrogi jak na szkapy leniwe...

— Nie, anioła śmierci, któryby wyssał z nich resztki nerwowego życia jakie w nich tleje, i potem rzucił na podścielisko dla nowej generacyi.

— Lud wiejski, odezwał się Jan, ale mu zaraz przerwał Głowacz krzywiąc się jak oparzony.

— To bydło, bez bata nic z niem nie zrobisz. O podobnym kąkolu czy wiejskim czy miejskim nawet mówić nie warto. A toć już tyle razy pisaliśmy o szkółkach, o nauczycielach, o sposobie wykładu, o podręcznikach dla nich, o bankach, kasach, zaliczkach, hypotece i wszystko skończyło się na niczem.

— Nie zupełnie, odezwał się Stanisław trącając znowu Jana, bo słyszałem jak w pewnem towarzystwie, z wielkiem mojem zgorszeniem, radzono o tych rozprawach nazywając je wybrykami głów szalonych.

— O! tak, dla nich wszystko jest szaleństwem co tylko prawdą kłuje oczy, wrzasnął Głowacz. Kiedyśmy powstawali otwarcie przeciw wdrażaniu w dzieci bezwarunkowego posłuszeństwa dla starszych, bo to niszczy samodzielność i utrudza wyrabianie własnego zdania: kiedyśmy wykazywali szkodliwość klauzyli pensyonatów żeńskich, w których pannom nietylko gruchać miłośnie nie pozwalają, ale nawet spojrzeć ukradkiem na młodego chłopca: kiedyśmy wyrozumowali konieczność posagów dla panien mających pretensyą do małżeństwa, nie będącego niczem więcej tylko spółką, w której gdy jedna strona daje opiekę i stanowisko w świecie, to druga w równej wartości wnieść winna kapitał: (*) otóż gdyśmy to wszystko wypowiedzieli otwarcie i publicznie, także zatabaczeni konserwatyści nazwali nas szalonemi pałkami. Czyż jednak dla tego prawda przestała być prawdą? Na podobne szykany jesteśmy przygotowani. Gdyby peryodyszna prasa....

— Oh! ta stara prasa, przerwał Stanisław z westchnieniem i nieznacznie trącił Jana w kolano.

— Nienawidzę jej, nie cierpię, gardzę nią! wrzasnął Głowacz tak gwałtownie że aż Jan przestraszył się przypuszczając nagłą chorobę. Gdybym mógł spaliłbym na proch, nabił w armatę i wystrzelił na wsze strony świata, żeby nawet tradycya o niej zaginęła.

— Niechaj ginie jak Szwed w puszczy, odezwał się Stanisław i patrząc z tłumionem zadowoleniem jak Głowacz ledwo dyszy z uniesienia, zwracając się do Jana mówił dalej: bo wystaw sobie Jasiu że ci

(*) Rozprawy te rzeczywiście były drukowane w kilku pismach warszawskich tak zwanej młodej prasy.

niedołędzy nasi dziennikarze, artykułów ogłaszanych przez Łepaka i Głowacza w tak ważnych i pożytecznych kwestyach, nietylko nie rozwijając obszerniej, pokrywają zupełnem milczeniem, ale nawet ośmialają się wszędzie twierdzić, że są pisane tak słabo, tak bez żadnej znajomości....

Głowacz aż zapienił się z oburzenia, zerwał z siedzenia, zaczął szybko przechadzać się po pokoju, a Stanisław dusząc śmiech w sobie, trącał Jana i wskazywał na Głowacza.

— My im pokażemy co umiemy i do czego jesteśmy zdolni, woła Głowacz przechodząc po pokoju z wielką niecierpliwością. Zagnamy ich w kąt gdzie pieprz nie rośnie i zedrzemy maskę ze wszelkich świętoszków, wykazując kuglarstwo jakiem karmią spragnionych chleba. Gdyby padła na nich jaka zaraza byłoby to dobrodziejstwo niczem nie opłacone...

— Ha! ha! ha! zaśmiał się Stanisław biorąc za boki. Wyborny projekt! Tylko Głowaczu jesteś troszkę za żarłoczny, bo jakbyś naraz jeden połknął wszystkich starych literatów, hreczkosiejów i dziennikarzy, to w naszem pustkowiu nie bardzo ludnem, byłoby cokolwiek za luźno, a to jest przeciwne zasadom gospodarstwa społecznego...

— Bajki! przerwał Głowacz. Trzebież zawsze las odmładza a człowiek po części jest i rośliną...

— Daruj im życie, mój Głowaczu kochany, przez wzgląd na mą pobożną prośbę. Patrz składam ręce jak do Pater noster.

— Niechże więc żyją i gniją, odrzekł Głowacz cokolwiek udobruchany a nawet uśmiechnięty z komicznej postawy Stanisława. Mierzwa w gospodarstwie przyczynia się do plonu, a siewcami na niej my jesteśmy, my, cośmy ze wszelkiemi przesądami rozbrat wzięli i wytykać je będziemy śmiało, choćby słowa nasze piekły i paliły wycacane lalki w głupstwach dotychczasowych różnego kalibru. A jest ich zbiór niemały. Kiedyś utworzymy z niego muzeum pamiątek niedołęztwa społecznego, i wprowadzimy do niego wszystkich bożków nowożytnej mitologii.

Niebawem w przedmiocie tym rozpoczęła się żywa rozprawa: nie szczędzono w niej nikogo i niczego, poruszono wszystkie poświęcenia i bohaterstwa, wszystkie idee po wiekach walki wszczepione w ludzkość, naruszono prochy mogił, kości męczenników, obyczaje, zwyczaje, tradycyą, słowem wszystko co stanowi spójnię i bezpieczeństwo porządku społecznego, i wszystko to wydrwiono. wyszydzono, zbeszt ano, zmieszano z błotem, wykazując konieczność nowej budowy od fundamentów aż do ostatniego gzymsu, służącego jedynie do ozdoby. Jan słuchając uczuwał często jak go zimne mrowie przechodziło: pierwszy raz będąc świadkiem podobnie radykalnej napaści bez słów wyboru, na przekonania z domowego wyniesione wychowania, w których najzupełniejsze pokładając zaufanie, nie wdawał się nigdy w ich rozważanie, to bladł, to czerwieniał się ale lękał wtrącić jaką uwagę aby nie być wyśmianym i poczytanym za głupca nie mogącego się nawet wznieść do pojęć tak stanowczo głoszonych. Czasem więc tylko przytakiwał, bąkał coś niewyraźnie a nawet uśmiechał gdy szyderstwo jakim dowcipem okraszono. Stanisław za to był jak w swoim żywiole, w rozprawie nie szło mu o przekonania, o dowody rozumnie rzecz popierające, nad czem nie łamał sobie głowy, tylko o wybryki wrodzonego mu dowcipu, o popisanie się z jakiem porównaniem zabawnem, które choć gorszące harmonizowało z główną treścią. Głowaczowi tego tylko było potrzeba, pełen jadu, wypluwał go z siebie nie przypuszczając nawet myśli oporu. Kiedy już przezuł wszystkie najważniesze kwestye na niczem nie zostawiając jednej poczciwej nitki, kiedy przez alembik swoich pojęć przepuścił nawet domową zagrodę. rodzinę i wszystko co ją wiąże z sobą, co jej tak wielkie nadaje znaczenie, odetchnął i zapalił papieros.

— Dobrze Głowaczu, odezwał się Stanisław, siecz, wal, pal i burz a przyszłość postawi ci pomnik ze zgniłych jabłek które skazujesz na zatracenie. Jesteście słońcami naszych czasów, wprawdzie jeszcze w zaćmieniu będącemi, ale wydobycie sięgna wierzch a poklask pewny i uznanie.

— Nie dbam o nie! krzyknął Głowacz. W realnej reformie do której dążymy, błazeństwa te choć ponętne niewarte niucha tabaki. Uznanie w dowodach realnej wartości...

— Tak, tak, przerwał Stanisław zacierając ręce, dusie złote oto realny połask w nędznem naszem życiu. Kocham cię Głowaczku jak siebie, pisz i drukuj i niech krocie czytelników rozrywają kartki twojej bazgraniny. Łepak podobno już tyć zaczyna...

— A tak, idzie mu coraz lepiej, potwierdził Głowacz z pewną niechęcią. Nie napisał wprawdzie jeszcze etyki pozytywnej ale już ją praktykuje potroszku na swoich murzynach, goniąc ich do pracy... honorowej i wyciągania dla niego kasztanów z płonącego żaru. Sprytna to sztuczka!

— Nie, Głowaczu kochany, odezwał się Stanisław marszcząc się, urżnął teraz bąka ani sprytnego ani pozytywnego...

— No, cóż takiego?

— A ożenił się nb. bez posagu i bez gorączki przedślubnej, pędzącej ludzi jak osłów w pęta małżeńskiego jarzma.

— No, zapewne że to błąd wielki, odparł Głowacz, ale zrobił to dla domowej ostentacyi...

— A tak, dla ostentacyi, potwierdził ze śmiechem Stanisław, która go z kijem przegania po mieszkaniu, wali miotłą i za uciekającym rzuca stołeczki zdolne rozbić twardszą głowę jak Łepaka.

— Słyszałem że to się zdarza, Łepak też za domem pociesza się jak może. Rozśmieli się obadwa a Stanisław dołożył:

— Wiesz co że ta Bulowa to wcale apetyczna. Przypatrzyłem się jej bliżej i mam mu wielką ochotę wypłatać małego figla.

— Zdaje mi się, że ci to nie przyjdzie z trudnością...

— I ja tak sądzę.

— Powiem ci otwarcie, że i ja o tem myślałem, tylko na prawdę brak mi czasu. Codzień prawie przychodzi mi nowy pomysł do podniesienia ogólnego dobrobytu i nie porzucam dopóki go nie obrobię i nie przemienię w groch na ścianę.

— Podzielmy się więc pracą, przerwał Stanisław ze śmiechem, ty zostań przy pomysłach, syp z nich góry, a ja zostanę przy pani Bulowej. Podział przecie zajęć takich zaleca nawet gospodarstwo społeczne.

— A jakże, a jakże, potwierdził śmiejąc się Głowacz.

I sypnęły się żarty jak z rękawa. Jan kraśniał, uśmiechał się, Głowacz wywodził różne teorye naukowe a Stanisław potwierdzał je podnosząc do praw niezłomnych.

— Tak, tak, zakończył wreszcie Stanisław, walka o byt, wybór naturalny to prawa którym ulega cały świat żyjący. Co tu pomogą tomy przepisów, nakazów, przykazów, zastrzeżeń, wydanych i popieranych przez...

— Przez głupców, wtrącił Głowacz, pewnych że wiedzą co było i co będzie, a nie widzących błota pod nogami.

— Z ust mi wyjąłeś Głowaczku kochany. Jesteście chodzącą mądrością, tylko z Łepakiem się nie pogryźcie przed przygotowaniem etyki pozytywnej, bo któż jej dokona jak nie wy. A tak potrzebna, na gwałt potrzebna.

(d. c. n.)

PRZESILENIE.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

przez Oktawa **Feuillet'a.**

przełożona z francuzkiego

przez Franciszkę Majewską.

(Dokończenie).

SCENA VI.

De Marsan (sam potem Antoni).

De Marsan (patrząc za nimi gdy się oddalają). Biedny Dessoles!... możnaby powiedzieć iż idzie na tortury. Rzeczywiście iż to sam na sam, po tem co się dopiero dowiedział, nie ma wielkiego powabu. Wreszcie w rzeczy samej... nie ma powodu uskarżać się bardzo. Jako człowiek nie może być bardzo zadowolonym... lecz zato jako doktór może być zadowolonym i dumnym, gdyż znakomicie leczył (z powagą). A teraz kiedy to wszystko już ukończone, muszę przyznać to koniecznie... iż przesądzałem cokolwiek o mem nieszczęściu. Wszak znam Julią. Tak cnota jak i występek ma swoje granice!... Wszak kobieta dobrze wychowana, której postępowanie przez lat dziesięć było bez zarzutu, nie może w ciągu dnia jednego stać się zdolną do zdrady i nie zechce dla chwilowej fantazyi zburzyć budowę swego życia, gmach przeszłości i przyszłości. To jest niemożliwe!... Obmawiają w ogóle kobiety!... Lecz trzeba położyć ten szacowny rękopism na swojem miejscu (wyjmuje zeszyt z pod ubrania). Nie mogę zupełnie wymawiać sobie mojej niedelikatności, która miała tak znakomite następstwa, wreszcie przyjdzie chwila, gdy się sam o to oskarżę przed kim należy (przerzuca rękopism mówiąc i podchodząc ku drzwiom). Jest jeszcze kilka kartek... Chociaż już wiem dosyć! Lecz oto pisała jeszcze onegdaj wieczór... Tak... 20 maja (zaczyna czytać uśmiechając się, lecz stopniowo zasępia się). „Nakoniec zaczynam rozumieć, dziwny system postępowania tego człowieka“ (zdziwiony i niespokojny). O Piotrze! Piotrze!... (Podchodzi na przód sceny). „Co mnie najgorzej oburza to mój; wychodzi, przychodzi, otwiera drzwi i powraca, wchodzi i znów wychodzi, oto jego życie. Jedyna rzecz na którą uwagi nie zwraca jest okoliczność, iż jego przyjaciel jest tutaj zbytecznym, i że do niego należy ażeby oddalić go ztąd jak najprędzej.“ Cóż to u licha, co za zmiana? Muszę więc dalej zobaczyć... Zapadająca noc nie zawsze ludzi dobrą radą obdarza... O Desdemono!“ Coś nowego, cytacya Szekspira, cóż dalej... (czyta prędzej i coraz bardziej się miesza). O Desdemono, wszak to wieczórem Moor opowiadał ci z takim ogniem i zapałem, o bitwach i burzach.“ Na Boga co to znaczy!... „27 Maja północ.“ „Było to wczoraj!... Nigdy tak okropnego w życiu nie spędziłam wieczoru. Chciałam mu stanowczo naznaczyć pożegnanie, które stało się niezbędnem; lecz mój mąż, którego nigdy nie ma kiedy jest potrzebnym, miał

szczęśliwą myśl, widać powodowany uczuciem zazdrości, zjawić się. To zaślepienie obok mojej słabości, wszystko może zgubić... (z głębokiem wzruszeniem). O nędzna kobieto!... albo ja raczej nędzny głupiec. I w tej chwili gdy jeszcze o tem myślę, to ja... (patrzy w głąb) lecz idę w tej chwili... (Antoni pojawia się z lewej strony). Ah! Antoni!...

Antoni. Panie!

De Marsan. Weź ten zeszyt, są to rachunki... notyski... wsuń go w biórko pani, w górną szufladkę! Czy uważasz? Idź tylko prędko...

Antoni. Dobrze panie (wychodzi na lewą stronę z zeszytem).

De Marsan (bardzo wzruszony). A teraz... poszli tą drogą... idą... tak idą... (przykłada rękę do czoła, chwieje się). Oh! mój Boże! (pada na krzesło przy konsoli w głębi i ukrywa twarz w ręce). O moje biedne dzieci!...

AKT CZWARTY.

Ozdoby niewielkie, buduar Julii, kominek w głębi: drzwi po prawej stronie kominka; fotel i stół do roboty po prawej stronie, lustro, krzesło z prawej strony. Noc ciemna; widać drzewa oświetlone blaskiem księżyca.

SCENA I.

Julia (sama potem Justyna).

Julia (oparta o kominek: ósma godzina bije). Już ósma! Więc niedługo... O Boże! jak mogłam wczoraj wieczór, kiedy czekał pod mojem oknem rzucić mu bukiet!... A jakby był spotkał. Lecz to było niemożliwe! Ah! dla czegóż tak wszystko mnie niepokoi... tak przestrasza (siada z wysiłkiem na kanapie). Oh! gdzież moje dawne sumienie!... (patrzy w koło z przestrachem). W tym pokoju, mój ty Boże! w którym otrzymałam tyle uścisków od mojej matki, śmiem na niego czekać (zatrzymuje się i wydaje okrzyk spojrzawszy w lustro). Ah! lustro mnie przestraszyło (dzwoni nagle i mówi z goryczą chodząc pośpiesznie). Dziś rano gdy mój mąż mnie pocałował... zdawało mi się iż moje serce bić przestało! Ta ciemność mnie przeraża! (znów gwałtownie dzwoni, wchodzi Justyna z lewej strony). Już trzy razy dzwoniłam na ciebie.

Justyna (z miną wyzywającą). Tak pani, gdyż byłam zajętą; pomagałam w zajęciu p. Janowi, służącemu p. Dessoles'a i myślałam iż mi pani tego za złe nie weźmie.

Julia (zajęta szukaniem w stoliku na chwilę przerywa zajęcie potem odpowiada głosem wyniosłym i spokojnym): Coś ty powiedziała?....

Justyna (pomieszana jąka się). Nic proszę pani... byłam tylko na dole i nic nie słyszałam...

Julia. Światła proszę... (po wyjściu Justyny mówi głosem przerażonym). Ta dziewczyna mi ubliża. Czyż już do tego doszłam, iż mi moi słudzy śmieją ubliżać — a ja nie śmiem tego rozumieć?.... (wybuchając). Oh!.... chciałam sama cierpienia! (chowa w twarz ręce i pada na krzesło po lewej stronie kominka).

SCENA II.

Julia, Antoni wchodzi z lewej strony, niosąc lampę którą stawia na kominie.

Julia. Bardzo ci dziękuję.

Antoni (patrząc na nią z ciekawością niedowierzającą). Czy pana nie ma proszę pani?

Julia. Nie ma, jest na folwarku i przybędzie około dziesiątej.

Antoni. Dla tego się pytam, iż chciałem go przestrzedz w jednej rzeczy...

Julia (pomieszana). W czemże to?

Antoni (patrzy jej w oczy i mówi znacząco). Widziałem w tej chwili przechodząc przez ogród, kląb zdeptany, pod pani oknami, a ponieważ niebardzo jest bezpiecznie w tych okolicach, chciałem więc przestrzedz pana...

Julia. Nie ma potrzeby, mój poczciwy Antoni; już ja to biorę na siebie.

Antoni (prostodusznie). A jeżeli sobie pani nie życzy ażebym to panu mówił, to co innego.

Julia. Wszak ci mówię iż ja to sama panu powiem, więc...

Antoni. Dobrze, proszę pani, dobrze. Wszak pani wie lepiej ode mnie zapewne! (Julia wychodzi z lewej strony poprzedzona przez Antoniego. W tejże chwili z prawej strony wchodzi Dessoles).

SCENA III.

Dessoles (sam, blady i wzruszony).

Nikogo nie ma. A jednakże zdawało mi się iż słyszę kogoś... lecz jestem tak dziwnie pomieszany!... (zbliża się do okna w głębi). Tak było to w ogrodzie (podchodzi na przód sceny). Lecz otóż i koniec. Bardzom dobrze to przewidział; iż w końcu tej szalonej próby rozpoczętej ze śmiechem będą łzy!... (zniżając głos ze smutkiem) a może i krew przelana, gdyż niemogę temu uwierzyć, ażeby tak ustąpił z placu boju. Jednak jej jeszcze nie widziałem od chwili owego wyznania!... (siada z niechcenia na kanapie). Jakim sposobem znalazłem odwagę!.... Widać iż sumienie miewa wielką władzę! Mnie wyrwać to wyznanie w chwili kiedybym oddał życie aby się tylko uwolnić od tej śmiesznej obietnicy! Kiedy ta namiętność pochłania mnie całego... (powstaje). Lecz nakoniec wie... wie iż chwila nadeszła ostateczna... a jednak nie powiedziawszy i słowa odjeżdża... oddala się ztąd daleko... na jakiś tam folwark!... (wzrusza głową). Oh! nie! nie mogę pozbyć się tej myśli, iż ta nieobecność może być dłuższą, iż może nas zostawić sam na sam na zawsze!... A więc niech i tak będzie, jeżeli w tym się zawiera zemsta którą nas obdarza, przyjmuję. Co się zaś tyczy przyszłości, nie łudzę się nią wcale... niech się stanie... mogę być słabym do pewnego stopnia, lecz tej nikczemności nie posiadam, która się cofa przed wszelkim obowiązkiem, która odmawia kobiecie jakiejśkolwiek dla niej ofiary, w zamian za jej spokój i życie złamane... Taka nikczemność nie będzie miała przystępu do mego serca... (z lewej strony drzwi się otwierają wchodzi Julia).

SCENA IV.

Dessoles, Julia.

Dessoles (podchodząc do niej). Pani!

Julia (z trudnością oddycha oparta o fotel i gestem odpycha Dessolesa. Ah! Boże!...

Dessoles. Co to jest? Co się stało na Boga?

Julia. Nic zupełnie... Może się tylko mylę... lecz zdaje mi się iż każde spojrzenie w tym domu śledzi mnie... a każde słowo wychodzące z mych ust zdradza mnie!... (z dziecinną obawą). Oh! ja nigdy do tego nie przywyknę! O! nigdy! (siada na kanapie).

Dessoles (chce ją wziąść za rękę). Wszystkie te obawy są bezzasadne.

Julia (nieprzytomnie powstając). Tak, może być... iż są bezzasadne... Przypominam sobie w parku, gdzieś mnie pan zostawił (zniżając głos) gdzieś się dotknął ustami moich włosów. W tej chwili prawie... Julek mój syn przybiegł, wskoczył na ławkę... i oczy jego zwróciły się na moją głowę... (ze drżeniem) na miejsce gdzie przed chwilą... Myślałam iż spostrzegł tam ślad!... ale był to kwiatek bzu który dojrzał na mych włosach... i który chciał zdjąć!.... O! biedne dziecię!... (ociera łzy).

Dessoles (błagalnie). Czyż moja obecność... moja miłość, będzie zawsze w pani wywoływać tylko takie bolesne myśli?...

Julia (przechodząc przed nim). Przebacz mi pan, lecz tak cierpię... a komuż to wszystko wypowiem, mój Boże!... Oh!... gdybyś mógł zobaczyć przez jedną tylko chwilę ten chaos, bezład, panujący teraz w mem sercu, litowałbyś się zapewne nade mną. Zdaje mi się iż zupełnie nie żyję i nie myślę, wszystko wydaje mi się jak jaki sen straszny... Widzę jak cienie przechodzące przed memi oczami, osoby niegdyś tak kochane, mego męża, moje dzieci!... zupełnie jak gdybym już nie żyła i znajdowała się w krainie strasznych widziadeł.

Dessoles (z irytacyą i stanowczo). Pani... nie wiem zupełnie... co mam... o tem wszystkiem myśleć!... Czy to ma być pożegnanie...

Julia (żywo). Oh! bynajmniej! wszak ja tego nie powiedziałam!...

Dessoles (porywając jej rękę; słychać kroki w głębi).

Julia (przestraszona). Ah!... są to kroki pana de Marsan (Dessoles wahając się zbliża się ku drzwiom z lewej strony, Julia powtarza): Idzie... z pewnością powiadam to panu!... tędy... Ah! tędy... przez gabinet... potem przez salon!...

Dessoles (powracający w tejże chwili z gabinetu). Niepodobna, tamte drzwi są zewnątrz zamknięte!

Julia. O Boże! (wskazuje na gabinet z prawej strony). Idź pan tam (zamyka drzwi i powraca, siadając przed kominkiem poprawia włosy w lustrze, potem bierze robotę i siada z prawej strony kominka w chwili kiedy de Marsan wchodzi).

SCENA V.

De Marsan, Julia.

De Marsan (z prostotą i naturalnie). Sama jesteś, a myślałem iż zastanę tutaj Piotra?

Julia (robiąc robotę). Takeś myślał?

De Marsan (z tąż samą postawą i uśmiechem). A dlaczegóżby nie?... Czy mi pozwolisz ogrzać sobie trochę nogi?... (siada przed kominkiem).

Julia (mówiąc z wysiłkiem). Dopiero ósma... bardzo więc krótko bawiłeś.

De Marsan. A tak niestety... dzierżawca pojechał do miasta... Wracałem drogą brzegiem wody... pyszną miałem przechadzkę przy świetle gwiazd, które tak błyszczą dzisiaj.

Julia (obojętnie). Czy czasem nie stajesz się poetą?...

De Marsan (śmiejąc się). Nie zrobię ci bynajmniej tego zmartwienia... chociaż są chwile w których marzę tak jak i każdy inny.

Julia (patrząc na niego). Jakto? Ty!...

De Marsan. Tak, ja. Wszak można marzyć w każdym wieku.

Julia. Mnie się zaś zdaje... iż stosowniejby było gdy się jest żonatym, marzyć głośno,

De Marsan (poważnie). Marzyć głośno?... A pani czy też tak robi?...

Julia. O! ja nie marzę ani cicho ani głośno!

De Marsan. No, tak, zachowujesz swoje marzenia, ów kwiat myśli, i masz może słuszność!... Gdyż ażeby je z drugimi podzielać, trzeba być więcej złączonymi duchem, jak my jesteśmy...

Julia (uśmiechając się). A to zabawne! Więcej złączeni duchem jak my jesteśmy!

De Marsan (powstaje i opiera się o komin). O, to jeszcze więcej niż zabawne!... Naprzykład w tej chwili nie możesz zaprzeczyć iż przyszłem nie w porę...

Julia (mieszając się). Ależ bynajmniej, daję ci słowo!

De Marsan (naturalnie). Dajmy pokój, jeżeli np. znajdujesz, iż w tej chwili za długo się ogrzewam... nie krępuj się bynajmniej... (robi kilka kroków jak gdyby się wahał wyjść i zmierza do gabinetu z prawej strony. Bierze krzesło i siada przy Julii z prawej strony).

Julia (po chwili milczenia). O czemże to marzyłeś idąc nad brzegiem owej wody?...

De Marsan. A ty o czem marzyłaś przed kominkiem?

Julia (z uśmiechem). Nie o tem zapewne co ty....

De Marsan. Kto to wie?... (patrzy na nią, ona spuszcza oczy). O czem marzyłem... zbierałem tysiące rozproszonych myśli, zasianych niegdyś w temże samem miejscu, mniej więcej przed dziesięcią laty...

Julia (zaciekawiona). Przed naszem pobraniem się?...

De Marsan. Tak jest; na dwa dni przedtem. Szczególna rzecz, jak te wspomnienia żywo stoją mi w pamięci. Pamiętam iż przechadzałem się tam — oczekując na twe i twej matki wejście. Kochałem cię Julio... (uśmiecha się) nie kryję się z tem bynajmniej, a kochałem cię w ten sposób, iż cała twoja rodzina przybierała w moich oczach jakiś charakter święty. Uwielbiałem twoją matkę, twe siostry.... wydawały mi się tak miłe iż mogłabyś była być o nie zazdrosną, jeśliby ten cały urok nie spływał na nie z twojej osoby!

Julia. A rzeczywiście... mocno... mocno... mnie to dziwi... dziękuję ci za to...

De Marsan (z wzrastającem wzruszeniem). Nie dziękuj mi bynajmniej... to tak dawno już było! Nigdy nie myślałem ażeby człowiek przystępował do tak pospolitej okoliczności życiowej jak małżeństwo z takiem wzruszeniem i nadzieją. Kiedy myślałem o tobie... o twej niewinnej i cudnej piękności... o twem czystem czole... o młodem sercu, które miało się zbliżyć ku memu pod błogosławieństwem Boga i matki, byłem zachwycony, wzruszony do głębi duszy. Wtedy czułem iż jeszcze nigdy nie kochałem a ciebie dopiero pierwszą!

Julia (niespokojna i wzruszona). Słucham cię.... doprawdy nie wiedząc...

De Marsan. Może cię to nudzi?... (powstaje)

Julia. Bynajmniej! Cóż dalej?...

De Marsan. To! iż dziwiłem się jak dziecię, jak można stracić wiarę w idealność związków małżeńskich i jedną tylko miałem obawę... ażebyś czasem nie była nieszczęśliwą.

Julia. Mężu!

De Marsan. A jednakże znałem wszystkie te skały. które się spotyka na morzu małżeńskiego pożycia... lecz, powtarzałem sobie: ja je ominę. Dlaczego to, mówiłem sobie nieraz, tak upragniony bywa gość, który kwaśne sam na sam małżeńskie przerywa. Dla tego że mąż i żona są z sobą związani a niezłączeni duchem. A więc chciałem ażeby jedno z nas dla drugiego było wszystkiem, ażebyśmy w zwierzeniach naszych stali się tak potrzebni jedno dla drugiego, żeby nie było powodu tęsknić, ani do naszych przyjaciół z lat dziecinnych ani z ławki szkolnej. Chcę albowiem od niej żądać duszy całej po otrzymaniu ręki, oddając jej w zamian swoją, chcę ażeby nasze dwa istnienia były tak z sobą złączone, ażeby ani uczucia smutku ani radości, teraz czy w przyszłości, nie były rozdzielne, ażebyśmy cierpieli i radowali się wspólnie!.. Julio, jam cię bardzo kochał!

Julia. O! tak, niezawodnie!

De Marsan (w temże samem namiętnem uniesieniu). Tak też pierwsze lata naszego pożycia przeszły, i zdawało mi się nieraz, gdym myślał o dalszych latach, iż znajdziemy w sobie z siwemi włosami, jeszcze poważniejsze i trwalsze uczucie, jeżeli znajdzie się głos dzieci, który zastąpi rozkosze młodości. Tak, spodziewałem się iż nasze długie wieczory nie będą nudne, a nawet będą miały pewien wdzięk przy najrozmaitszych wspomnieniach. Widziałem więc zwykle naszą starość przekładającą karty naszej wspólnej księgi życia... przed zamknięciem jej, tak zapisane, iż każdemu warto było odczytywać?... Słowem kochałem cię!...

Julia (nieśmiało). A jeżeli to wszystko jednak nie nastąpiło, kogóżbyś oskarżał, siebie czy mnie?...

De Marsan (zimno). Oboje potrochu. Siebie iż nie byłem wytrwałym; ciebie iż widziałaś w mężu tylko pana.

Julia. Tak... to prawda... lecz sama nie wiem, co mówię. Przepraszam cię, gdyż musi już być późno?...

De Marsan (z roztargnieniem). Późno!... Cóż ci ostatecznie na tem zależy?

Julia. Lecz nie o to się pytam... widać iż się źle wyrażam... chciałam się cię zapytać... czy nie zawsze zależy od męża, przywiązać do siebie żonę?

De Marsan. A czyż żony nie jest to równym obowiązkiem?

Julia. Jest, nie przeczę, ale od was to więcej zależy. Wieleż to kobiet naszego świata, przestałoby się nudzić, tęsknić... gdyby ich mężowie tak je kochali jak mówiłeś, tak do nich przemawiali, jakeś w tej chwili do mnie przemawiał! O wieleżby to z nich ocalało na zawsze przez jedno słowo pobłażliwe i przebaczające! (patrzy na niego błagalnie).

De Marsan (surowo podchodząc ku brzegowi sceny). Co się tyczy pobłażliwości, w tym względzie moja pani, takowej bynajmniej nie można żądać od mężczyzny!

Julia (wstając, podchodząc do niego). Lecz zdaje mi się, iż w podobnym razie byłbyś pobłażliwym?

De Marsan. O! widać że znasz mnie bardzo źle. Jabym nie tylko nie przebaczył nigdy... lecz nadto szukał słusznej zemsty.

Julia. Jakoś ci nie zupełnie wierzę. Jakże np. mściłbyś się?...

De Marsan. Takbym się starał przedstawić, abym pozostawił żal głęboki po sobie?...

Julia (niespokojnie). Żal?...

De Marsan. Byłaby to tego rodzaju zemsta, iżbym wystawił przed winną żoną całą moją duszę, którą złamała, serce które przebiła boleścią, słowem całą mą istotę moralną jako człowieka, męża i obywatela, i tym sposobem pobił i zwyciężył mego szczęśliwego rywala, jego własną bronią.

Julia (ze wzrastającą obawą). Ah! czy tak! a potem?...

De Marsan. Potem... (przerywa i słucha).

Julia (podbiegając ku oknu). Co to, konie pocztowe, powóz w dziedzińcu?

De Marsan (obojętnie). Ah! to przyjechali po Piotra od markiza Despars, który umiera w swoim zamku.

Julia (na stronie). A on jest tam!

De Marsan. Jaki wydałbym wyrok na mą żonę!... (Julia błaga go wzrokiem z obawą). Nie!... nicbym jej nie wyrzucał, zostawiłbym ją własnemu sumieniowi, potembym sam odjechał.

Julia (głosem obłąkanym). Co?... tybyś odjechał?

De Marsan (stanowczo). Tak jest... odjechałbym oszczędzając tamtemu tego trudu. Odjechałbym z jej dziećmi, gdyby je miała...

Julia. Z jej dziećmi!... Oh! mężu!

De Marsan (z gwałtownem wzruszeniem). Tak, z jej dziećmi!... Krew jej serca z sobąbym uwiózł... nie słuchałbym ani prawa ani jego sprawiedliwości. Pojechałbym daleko żyć z niemi razem... Możeby przysłała za mną swego kochanka, ażeby mi je odebrać (ze łzą w oku). Nauczyłbym potem te biedne istoty!... ażeby zapomniały swojej matki!... (zatrzymuje się i patrzy surowo na Julią, która z trudnością utrzymuje się na nogach i dodaje tonem obojętnym). Nie śmiesz mnie ztąd wyprosić, lecz widzę jak jesteś zmęczoną (całując ją w czoło). Dobrej nocy! (Julia coś szepcze i bliska jest omdlenia).

SCENA VI.

Julia (półgłosem z obłąkaniem).

Boże!... o mój Boże! (nagle tknięta jakąś myślą, wstaje, biegnie do drzwi gabinetu i zamyka go). Nie chcę go widzieć!... nie chcę! Pragnę ujrzeć moje dzieci, jestem jeszcze godną tego... będę zawsze godną! Boże! przysięgam to! (słychać turkot powozu, Julia wydaje okrzyk i pada na kanapę), Ah! jakiż on bez litości! bez litości!... tak jak powiedział... tak i uczynił... odjechał!... cóż się teraz ze mną stanie.... Ah! gdybym też umrzeć mogła!... (sztukają do drzwi gabinetu). Nie!... nie! nie chcę cię widzieć... tylko marzyłam... byłam szaloną...

Głosy dzieci w gabinecie. Mamo otwórz! otwórz mamo! (Julia podnosi głowę z pomieszaniem, powstaje i słucha bez ruchu). To my jesteśmy mamo!

Julia (z uniesieniem). Moje dzieci (otwiera drzwi, rzuca się ku dzieciom, które wchodzą z ogromnym bukietem. Siada na kanapie i tuli je do siebie).

Dzieci. Wszak to jutro twoje imieniny mamo? Dobrą zrobiliśmy ci niespodziankę, nieprawdaż?... To ojciec miał taką szczęśliwą myśl... (okrywa je pocałunkami).

De Marsan (wchodzi z prawej strony z Antonim który stoi wzruszony). Niedorzeczną miałem myśl najdroższa, gdyż cię przestraszyłem, lecz chodźmy na wieczerzę w naszem kółku domowem, to się uspokoisz!...

Julia (rzucając mu się na szyję). Ah! Jakiś ty dobry! O Boże jakiś ty dobry! (chłopczyk zostaje na kanapie, dziewczynka zaś z boku, de Marsan trzyma ją za rękę).

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Drugie piętro przeznaczone jest dla tych którzy zawinili czemś przeciw policyi. Na trzeciem mieszczą włóczęgów ludzi bez zajęcia, bez środków utrzymania, bez ojczyzny. Codziennie, oddziałami po 150 do 200 odsyłają ich do gmin lub konwojują do granicy.

Wszedłem na trzecie piętro; jest to prawdziwie przybytek biedy i nędzy; zaduszające odory chwytają za gardło a z po za zaryglowanych drzwi słychać skargi, jęki, narzekania. Jest to więzienie Cyganów, w zimie zamykają ich tu z żonami i z dziećmi; w lecie przenoszą na podwórze. Tuż obok jest więzienie Słoweńców.

Gdy klucznik otworzył mi salę w której znajdowało się z pięćdziesięciu aresztantów, skazanych na odtransportowanie do właściwych gmin, młody czło-

wiek zbliżył się prędko do mnie, i zawołał błagalnie, ze łzami w oczach:

— O! jaśnie panie, zaklinam cię, nie każ mnie konwojować przez żandarmów aż do miejsca urodzenia, mam tam starego ojca któryby umarł ze wstydu; on wolał stracić całe mienie, niż nie dotrzymać danego słowa... a prócz tego, dodał łkając, mam narzeczoną...

— Zkąd jesteś? zapytał dozorca.

— Ze Starego-Samborza.

— Wszak to wioska w Karpatach? zapytałem.

— Tak, jaśnie panie, odrzekł aresztant; mała to wioska, ale żyją w niej tylko ludzie uczciwi choć biedni. O! z radością tam wrócę, tam moje miejsce rodzinne, kościołek w którym mnie ochrzczono, i domek matki mojej narzeczonej. Jakaż ona piękna! jest wysoka, szczupła, ma czarne, pełne ognia oczy i śliczne różane usteczka. Gdy przechodziłem tamtędy po wschodzie słońca, widywałem ją, tę ukochaną gołąbkę, jak przy oknie, przed kawałkiem zwierciadła, czesała wielkie swoje krucze warkocze, a na moje pozdrowienie odpowiadała pocałunkiem. Dla niej to udałem się do Wiednia, gdyż powiedziano mi że tu chyba kto nie chce, to nie zarobi pieniędzy, dużo, dużo... A ja tak pragnąłem zebrać ich trochę przed ślubem, aby jej kupić piękny weselny ubiór i urządzić godne jej gniazdeczko. Ale tu trudniej żyć jeszcze niż w naszych Karpatach, a gdy głód przyciśnie, nie można chwycić dubeltówki i szukać obiadu w lesie. Wrócę więc do ciebie droga moja ziemio rodzinna! ale błagam, zaklinam panów, nie każcie żandarmom konwojować mnie na samo miejsce. Przyrzekam wam że nigdy tu nie wrócę, bo gorzko zostałem rozczarowany... A jednak nie zbywało mi ani na dobrych chęciach ani na odwadze! Najpierw udałem się do fabryki, tam zapytano mnie zkąd pochodzę. „Jestem Galicyanin, odrzekłem.“ Wtedy powiedziano mi szorstko że tylko Niemców przyjmują. Chciałem nosić wapno, przy nowych budowlach, odpędzono mnie mówiąc że posługują się do tego kobietami, które o połowę mniej kosztują. Nareszcie chciałem nosić worki zboża dostawianego Dunajem, ale pracujący tam ciągle grozili że mnie utopią jeśli im będę odbierał zarobek. Przez dwa tygodnie wszędzie szukałem roboty, wskazując na moje silne ręce, i wszędzie albo mnie odprawiono z niczem albo wyszydzano. Z głodu zmuszony byłem wyciągnąć rękę, i wtedy zaaresztowano mnie jak żebraka.

A wypowiedział to wszystko z żywością słowiańską, i oczy mu błyszczały jak węgle gdy wzywał naszej litości.

Nadzorca obiecał mu prosić naczelnika a wyszedłszy z sali i ja wstawiałem się za biednem dziecięciem Karpat, zabłąkanem wśród cywilizacyi często okrutniejszej od dzikiego życia w górach i w lasach.

Wsiadłszy do fiakra kazałem jechać do więzienia na przedmieściu Alser.

XVII.

Przedmieście Alser (Alservorstadt) leży na północo-zachód miasta i ciągnie się po za Hernal. Przedmieścia Wiednia tworzą jakby oddzielne miasta opasujące stolicę.

Na Alservorstadt stoi szpital ogólny założony w r. 1783 przez cesarza Józefa II. Nie ma może w Europie rozleglejszego gmachu, lepiej urządzonego, z tak wielkiemi dziedzińcami i ogrodami, w których w lecie wśród wonnych gajów stawiają łóżka chorych w cieniu, pomiędzy kwiatami, a świergot ptaków rozwesela cierpiących. Tu mieszczą się wszystkie kliniki Uniwersytetu, przy każdym oddziale jest wielka sala z amfiteatrem, na który wtaczają chorego z łóżkiem, jeśli musi się poddać operacyi. Corocznie leczy się tu 25,000 chorych i śmiało można powiedzieć że jest to najpierwszy szpital w Europie.

Na temże przedmieściu wznosi się wspaniały szpital obłąkanych, zajmujący 100,000 metrów kwadratowych powierzchni; jest urządzony na pięćset chorych. Są tu nader okazałe sale jadalne, salony z fortepianami i bilardami w których wydają świetne bale dla chorych. Każdy obłąkany wybiera sobie rodzaj zajęcia; widziałem tu malarzy malujących Madonny; poetów piszących dramata; „królowe“ siedzące na swych fotelach jakby na tronie, do których przystępowano z wielkiemi pokłonami i posługiwano na skinienie.

Dom obłąkanych, klinika i szpital dla podrzutków zostają pod zarządem głównego szpitala.

Kobiety zostające matkami w *Geberhaus* mogą jeśli chcą same karmić dzieci swoje i wychodząc zabrać je z sobą, w przeciwnym razie oddają niemowlęta do szpitala podrzutków, zapisawszy je pierwej do księgi pod porządkowym numerem, który wypisują i oddają matce, aby jeźli później fundusze jej zezwolą, mogła dziecko swe odebrać.

Do zwiedzenia więzienia w pałacu Sprawiedliwości trudniej udzielają pozwolenia. ale nareszcie po pewnych objaśnieniach otrzymałem kartę z którą polecono mi udać się do sali strażników. W jakie pół godziny później przyszedł najstarszy nadzorca, i rozpocząłem zwiedzać więzienie, co trwało ni mniej ni więcej tylko trzy godziny.

Korytarze są widne i wszystko połyskuje czystością. Tak głuche milczenie zalega dokoła, jakby w klasztorze Kartuzów; tylko od czasu do czasu klucznik jakiś odprowadza oskarżonego do celi, drzwi obrócą się ciężko na zawiasach i klucz zaskrzypi w zamku jakby zgrzyt szczęki skazańca.

Wewnętrzną obsługę więzienną pełni najstarszy dozorca, który mnie oprowadzał, i cały rój młodszych strażników w wojskowych mundurach. Od szóstej rano do siódmej wieczorem, w całym gmachu rozlega się nieustannie dźwięk wielkiego dzwonu, dający znak rozmaitych zajęć i służbie i aresztantom.

Gdy „aresztant“ przybywa, zostaje natychmiast zrewidowany i ubrany w odzież miejscową, to jest w kaftan i pantaliony, w zimie sukienne, płócienne w lecie. Biedni dostają bieliznę i obuwie. Kobiety przywdziewają ciemne spódnice i kaftaniki.

Po przywdzianiu przepisanej odzieży, aresztant otrzymuje wielką szarą wełnianą kołdrę do przykrycia, pół bochenka chleba i oddany jest właściwemu nadzorcy, który go odprowadza do przeznaczonej dlań celi.

Więźniowie nad tem najwięcej suszą sobie głowy aby mieć i zatrzymać pieniądze, gdyż kto je posiada może dostać w więzieniach austryackich prawie wszystkiego co tylko zażąda. Niedoświadczeni chowają pieniądze w pończochy, w trzewiki, za podszewkę od kapelusza, i t. p. ale dyrektor obeznany z podobnemi sztuczkami zawsze je wynajdzie. Pieniądze skonfiskowane składają w kancelaryi, ponieważ więźniom nie wolno wydawać więcej jak czterdzieści krajcerów na tydzień — taki jest przepis; wystarczyłoby to zaledwie na kupienie sobie od czasu do czasu trochę wina i tytoniu.

— To też rzekł mi nadzorca, nie uwierzysz do jakich podstępów uciekają się byle ukryć co mogą pieniędzy. Jeden młody chłopak, który często się tu dostawał i cierpliwie odsiadywał swój areszt, przybywał zawsze z pewnym zasobem pieniędzy, przeznaczonych na uprzyjemnienie swego tu pobytu. Pozostawiają więźniom ich czapki, koszule i obuwie. Otóż miał u czapki kaszkiet z podwójnej skóry i wsuwał pomiędzy nie dość znaczną sumę pieniędzy. W guzikach od koszuli pod płótnem były pieniądze; w obcasach od butów pilniki i papierki dziesięć-florenowe, przygotowane na przypadek gdyby mu się udało uciec. Większa część aresztantów, przed rewizyą chowa pieniądze w usta, lub przykleja papierki do podeszew, ale znamy ten sposób i już się nie udaje.

— A czy osoby odwiedzające więźni nie przynoszą im pieniędzy? zapytałem: nie ma tu parlatoryum zaopatrzonego kratą, więc upilnowanie tego musi być bardzo trudne.

— Rzeczywiście; często, naprzykład, wkręcają papierek dziesięć florenów w grube cygaro. Był tu jeden więzień który wymyślił sobie niezwykły sposób zasilania swej skrytej kasy. Co tydzień przychodziła go odwiedzać żona i dzieci; strażnik zawsze był obecny przy widzeniu, aby nie dopuścić jakiegoś nadużycia. Jak tylko przyprowadzono więźnia, małżonkowie rzucali się sobie w objęcia, a strażnicy podziwiali ich wzajemną miłość — tymczasem czuła małżonka w każdym pocałunku wsuwała mężowi w usta papierek pięć florenów, które trzymała poskręcane pod językiem.

Celki są tu różnej wielkości; w mniejszych siedzi po trzech lub czterech więźni. Małe w mur zasunięte okienka opatrzone żelazną kratą, przepuszczają blade i smutne światło. Żelazny piec ogrzewa więzienie; dawniej wewnątrz więzienia, przytwierdzona była do podłogi wielka obręcz żelazna, do której przykuwano niebezpiecznych zbrodniarzy. Każdy więzień ma w celi łóżko, siennik, dzban wody i łyżkę drewnianą. Tylko w niektórych uprzywilejowanych celach są stoliki i krzesła. Drzwi są prawdziwie więzienne, ciężkie, grube, odrażające, opatrzone ogromnemi zasuwami i zamkiem olbrzymim, mały okrągły otwór w nich urządzony, pozwala dozorcom ciągle czuwać nad więźniami.

Jednak pomimo grubych murów i ogromnych zaryglowanych drzwi, więźniom udaje się czasem porozumiewać z sobą. Mają oni swoje sygnały, swoje telegrafy i swój język. Trzy prędko po sobie następujące uderzenia w ścianę, znaczą: „Strzeż się!“ Aresztant oczekuje z niewypowiedzianym niepokojem odpowiedzi na silne, prędkie stuknięcie; jeźli odpowiedzą dwoma uderzeniami, więzień często zbladnie: ktoś z jego wspólników został aresztowany. Jedno pierwsze uderzenie, znaczy: „Czy dziś w nocy przyprowadzono nowego więźnia?“ Sąsiad powtarza pytanie sąsiadowi, i tym sposobem obejdzie całe więzienie. Jeźli nowi więźniowie nie przybyli — nie dają żadnej odpowiedzi. W ważnych, wszystkich obchodzących okolicznościach, nawet wśród nocy więźniowie dają sobie znaki telegraficzne. Dozorcy wchodzą dla przywrócenia porządku — ale już po czasie.

Ci dozorcy są bardzo licho płatni, a muszą biedacy pełnić ciężkie obowiązki i wielka cięży na nich odpowiedzialność. Często bywają surowo gromieni przez zwierzchników, a nie mogą gniewu swego wywrzeć na więźniach, gdyż mają rozkaz obchodzenia się z nimi łagodnie. Jeźli jednak więzień znieważy dozorcę, zostaje wsadzony do lochu lub przykuty do obręczy. Od pewnego czasu kara ta została zniesiona i surowo jest wzbroniona w całej Austryi, pomimo to praktykuje się tajemnie w niektórych więzieniach.

Ucieczka nader rzadko miewa miejsce; oprowadzający mnie nadzorca mówił mi że za jego pamięci nie wydarzyła się ani razu. Rozmawiając doszliśmy do końca męzkiego oddziału; zatrzymaliśmy się przed celami u których zamknięci byli ważniejsi więźniowie, i mogliśmy, nie widziani od nich, przyglądać do woli.

Wszyscy nie sądzeni jeszcze oskarżeni, przedstawiają obszerne pole do badań i spostrzeżeń, a że mają jeszcze na sobie ubiór jaki nosili przed aresztowaniem, łatwo więc poznać do jakiej należą klasy.

W ogóle są zamyśleni i niespokojni; byli jednak i śmiejący się i z rękami w kieszeniach, przysłuchujący się opowiadaniu jakiegoś kolegi, którego otaczali kołem. Inni najobojętniej w świecie grali sobie w karty. Jakaż to różnorodność typów! istna panorama fizyczna i społeczna. Obok Węgra z miedzianą cerą, z przenikliwemi oczami, z długiemi na dół zakręconemi wąsami, z czarnemi jedwabistemi i wijącemi się włosami, stoi Słowak blady, wysmukły, z długiemi rękami, na wysokich nogach, z twarzą łagodną zdradzającą poddanie się swemu losowi; tu znów siedzi na łóżku swojem żyd z haczykowatemi palcami, któremi kręci swoją kozią brodę — to fałszerz pieniędzy.

W jednej celi znajdowało się trzech aresztantów, głośny gwar z niej dochodził:

— Ten otyły, rozprawiający na środku, to głośny Weininger, rzekł mi dozorca.

— Ten antykwaryusz?

— A tak; w tych dniach ma być sądzony! O! to zabawna historya! wiesz pan zapewnie że Weininger sprzedawał fałszowane starożytności do wszystkich muzeów w całych Niemczech; galeryą księcia Modeny zapełnił zbrojami i pistoletami po parę florenów, które sprzedał jako zabytki starożytne. Wszystko to sfabrykowano w Wiedniu. Niejakiemu panu Emmanuelowi Marks, antykwaryuszowi z Londynu, sprzedał podrobione ołtarze za pochodzące z szesnastego stulecia, za cenę 30,000 funt. szterlingów. Anglik uwierzył że ołtarze te kupione były w Rzymie w 1872 r. w jakimś klasztorze Jezuitów, za cenę 200,000 fr. Weininger wciągnął do wspólki handlowej pewnego węgierskiego hrabiego, przyobiecując mu spłacić jego długi, w zamian za blask arystokratyczny jakim opromieniał te fałszowane starożytności.

W następnej celi młodzi ludzie grali w warcaby siedząc na ziemi i palili fajki.

Aresztanci odznaczają się jednostajnym więziennym ubiorem, i pracują oni w rozległych warsztatach. Jedni wyrabiają fajki tak zwane z piany morskiej, drudzy zabawki dziecinne; niektórzy robią pudełka do kapeluszy, inni znów skarpetki, wyroby stolarskie lub introligatorskie. W pewnych oznaczonych godzinach warsztat zamienia się w szkołę, a tym sposobem tacy co wchodzą do więzienia, liter nawet nie znali, po odsiedzeniu kary umieją czytać a często i pisać.

Skazańcy mogą wydawać tylko połowę swego zarobku, druga część zostaje im oddana w całości gdy opuszczają więzienie.

Z kolei zwiedziłem kościół w którym wszyscy więźniowie słuchają Mszy św. w niedzielę i święta, poczem przeszliśmy do oddziału kobiecego.

Zajmują one oddzielne skrzydło tego ogromnego gmachu i pomieszczone są w wielkich i jasnych pokojach, których czysto pobielone ściany, przypominają klasztor. Młode aresztantki zebrane w gromadkę odbywają jakąś naradę, w innych salach siedzą na ziemi po turecku. Niektóre robiły pończochy.

— Ta młoda dziewczyna, mająca tak przyzwoitą ale zarazem oryginalną powierzchowność co haftuje przy oknie, podaje się za Amerykankę; i choć wiemy że jest Wiedenką, udaje że nie mówi i nie rozumie po niemiecku.

Zajrzawszy przez otwór we drzwiach do jednej sali, ujrzałem tam prawdziwie rodzajowy obrazek; gromada młodych i ładnych aresztantek, od lat 20 do 30, otaczała starą pomarszczoną cygankę, która trzymając w swych szponach ich białe ręce wróżyła im przyszłość.

W warsztatach, aresztantki szyją ubrania dla więźniów, przędą płótno i zajmują się rzemiosłami. Nadzorca wskazał mi oczami kobietę pracującą przy maszynie pończoszniczej.

— Cóż to za jedna? zapytałem wychodząc.

— To owa głośna fałszywa hrabianka Kinsky.

— Nic o niej nie wiem.

— Pozawracała głowy niezliczonej liczbie artystów, przemysłowców, handlujących i różnych osób, przed którymi podawała się za hrabiankę Kinsky. Wszyscy z osobna byli pewni że jest w nich zakochana i odda im swą rękę. Pewnego dnia wszystkim wielbicielom swoim dała od razu rendez-vous w Operze, i wszyscy stawili się punktualnie w czarnych frakach, białych krawatach, z kameliami białemi w dziurce od guzika. Prawdziwa hrabianka Kinsky była na temże przedstawieniu z rodzicami w loży, ani się domyślając ilu ma wielbicieli w krzesłach. Oszustka prowadziła z nimi korespondencyą z którejby romans napisać można. Nareszcie każdemu z osobna doniosła: że rodzice, powodowani przestarzałemi przesądami rodowemi, nie chcą jej pozwolić pójść za tego którego jej serce wybrało i postanowili wywieźć ją z Wiednia. Postanowiła zatem uciec przy pierwszej sposobności i połączyć się z ukochanym, ale do wykonania tego zamiaru potrzeba jej pieniędzy na przekupienie służby, panny służącej i szwajcara. Wielbiciele poprzysyłali paczki banknotów, ale nareszcie doniosło się wszystko do policyi, i mniemana hrabianka Kinsky, została odstawiona przed trzema dniami, pod wcale nie arystokratycznem nazwiskiem Maryi Lichtner.

Dostrzeżono tu wielką różnicę w zachowaniu się mężczyzn i kobiet. W pierwszym dniu uwięzienia, kobiety odchodzą od rozumu, wstydzą się, są nieśmiałe, lękliwe, rozdrażnione, płaczą, nie chcą przyjmować pożywienia, na słowa pociechy odpowiadają krzykiem i jękiem. Ale na drugi a najdalej trzeci dzień, zaczynają już zwracać uwagę na swój ubiór, jedzą i piją z apetytem. Mężczyźni przeciwnie z każdym dniem więcej się unoszą i złoszczą. Strażników i dozorców uważają za swych przyrodzonych wrogów, którym poprzysięgają wieczną nienawiść. To też strażnicy wiedząc o tem, nigdy nie wychodzą inaczej jak cofając się w tył.

W oddziale kobiecym panuje nieustająca wesołość i dobry humor. Zresztą w Austryi, zarówno jak wszędzie daleko mniej jest w więzieniach kobiet niż mężczyzn.

(d. c. n.)

Gawędy naukowe.

Fonograf i Aerofon. — Wizyta u Edisona w Menlo-Park w Stanach Zjednoczonych.

(Dokończenie).

Edison na nowo dotyka drążka ale nadaje walcowi obrot w stronę przeciwną, tak że ten postępując po skrętach szruby, wraca na poprzednie miejsce. Wtedy zakłada mundsztuk i wprowadza walec w ruch poprzedni. Małe ostrze znajdujące się na drgającej błonce, przebiega po wyżłobionych liniach i ząbkach. I oto machina sama mówić poczyna. Z mundsztuku wychodzą słowa: *Buenos dias senor*, i t. d. jednak siła głosu zmniejszona do trzech czwartych swej pierwiastkowej mocy, ale doskonała i wyraźna w dźwięku swym i artykulacyi, nawet każdej osoby wybornie rozróżnić się daje.

Papier cynowy przez to doświadczenie wcale zniszczonym ani uszkodzonym nie jest, może gdziebądź być przesłany i umieszczony na walcu fonograficznym, powtórzy słowa które na nim zostały zapisane.

Fonograf może gwizdać tak samo jak i mówi. Edison wygwizduje w mundsztuk aryę z jakiejś opery, a machina ją powtarza dokładnie bez wielkiej zmiany w natężeniu dźwięku.

— Temi dniami, rzekł p. Edison, wypadkowo pies zaszczekał przed tym mundsztukiem; machina wybornie powtórzyła szczekanie. Przechowuję papier na którym ono zapisane i wnet machina nam zaszczeka. Pies zdechnie, dodał wynalazca, ale głos jego pozostanie; wszystko co do głosu się odnosi trwa i po zgonie.

Stawiam p. Edisonowi następne pytanie:

— Gdyby który z pańskich przyjaciół mówił w tę trąbkę podczas pańskiej niebytności, czy poznałbyś go pan po dźwięku głosu zapisanym na cynowym papierze.

— Nie raz już powtarzałem to doświadczenie i kilkakrotnie głos poznawałem, jednak nie zawsze, ale fonograf jest jeszcze w dzieciństwie, potrzebuje wielu udoskonaleń ażeby zostać tem czem być powinien. Cyna nie jest właściwie tem co potrzeba, metal to za miękki, sztyfcik za mocno go rysuje. Mój spólnik Johnson zaproponował mi ostrze z szafiru dla zastąpienia tej igły; teraz właśnie nad tem czynię próby i przy panach je powtórzę, sami się przekonacie że szept najcichszy najdokładniej może być powtórzony i dźwięk głosu dobrze się zachowuje. Sami będziecie rozpoznawać głosy.

— Obecnie pracuję nad dwoma nowemi ulepszeniami: a mianowicie nad zamienieniem błonki żelaznej inną jaką, i dodanie do mundsztuka komory głosowej, rozmiarów mniej więcej niby wnętrza gęby ludzkiej, opatrzonej zębami a może i językiem. To dać powinno rezonans którego maszyna nie ma.

— Walec muszę także skasować koniecznie, a zastąpić go krążkiem metalowym, okrągłym i płaskim, wielkości mniej więcej zwyczajnego talerza. Krążek ten będzie żłobkowany i będzie mieć małą wklęsłość, która poczynając od środka przedłużać się będzie skręcając spiralnie aż ku obwodowi. Mógłbym ten niby rowek uczynić tak wązkim że krążek będzie mógł zawrzeć 50,000 słów, to jest mniej więcej objętość jednego romansu Karola Dickensa. Właśnie w tej chwili rozmyślam nad tem czy to wyżłobienie należy uczynić tak wązkiem ażeby 50,000 słów pomieścić mogło, czy też tak szerokiem ażeby tylko 200 na krążku ich było.

Edison zaprowadził nas wkrótce do warsztatów na dole i pokazał ten nowy fonograf, z krążkiem w miejscu walca. Przyrząd zegarowy w ruch go wprowadza, co mu nadaje więcej jednostajności i pozwala regulować szybkość obrotów.

Zdjąwszy kawałek cynowego papieru który leżał na krążku fonografu, Edison zmiął go i skręcił w gałkę wielkości orzecha. Potem rozwinął i o ile mógł wyprostował, a papier włożony do fonografu odśpiewał nam znaną powszechnie piosnkę ludową. Szmer jaki dawał się słyszeć z powodu niedość dobrze wygładzonego papieru, śpiew tłumił nieco, ale pomimo tego, słowa były wyraźnie wymawiane. Edison począł mówić w mundsztuk fonografu i okazał nam że mógł dowolnie zwiększać szybkość mowy, jednocześnie z podnoszeniem tonu od basu do soprana. Nadając temu kołu szybkość dostateczną,

rzekł on, mogę zmienić głos basowy w proste gwizdanie. I począł zwalniać obroty, wtedy usłyszeliśmy bas przeciągły; a przy zmniejszającej się stopniowo szybkości, głos głuchł i zniknął. Aby zrodzić dźwięk najsłabszy potrzeba od szesnastu do ośmnastu wibracyi na sekundę.

Następnie Edison pokazał nam zupełnie nowe a cudowne narzędzie, aerofon, ale już rozebrany. Część tego przyrządu, rzekł on, jest już w drodze do Europy i dlatego nie usłyszycie głosu jaki on wydaje; widzicie tu błonkę zupełnie taką jak w telefonie i fonografie, ale drgania jej zamiast rysować się na kawałku cynowego papieru, odmykają i zamykają klapkę rury parowej i tym sposobem świst pary obdarzają artykulacyami głosu ludzkiego. Ten przyrząd prostszy jest w swem urządzeniu od fonografu; zwiększa ogromnie siłę głosu ludzkiego, który w mowie swej może być słyszany wyraźnie w promieniu sześciu kilometrów i więcej nawet. Mój aerofon sam będzie wykrzykiwał nazwiska stacyi dróg żelaznych, a lokomotywy będą przebiegać kraje wykrzykując wszystko co tylko inżynier uważać będzie za potrzebne do powiedzenia. Okręty na morzu będą rozmawiały z sobą. Latarnie morskie głosem ostrzegać je będą podczas burzy. Różne cyrkuły miast będą mogły znosić się z sobą i zawiadamiać głosem donośnym o pożarach, wypadkach, i t. p.

— Na wystawie Paryzkiej będzie ośm moich telefonów, oprócz fonografu i aerofonu dodał Edison.

— Do czego sądzisz pan iż służyć będą fonografy? zapytałem.

— Do bardzo wielu rzeczy, odpowiedział Edison. 1) Zastąpią one stenografów, i tak naprzykład, człowiek mający kilka listów do napisania, dyktować je będzie fonografowi i prześle papier cynowy swoim korespondentom, ci umieszczą go w fonografie a ten go odczyta i będą wiedzieli na co odpowiedzieć mają. Listy takie adresowane do osób nie posiadających fonografu, będą mogły być przepisywane przez urzędnika fonograficznego bióra.

2) Wprawny czytelnik przeczyta przed fonografem nowelę Dickensa. Ta nowelka zmieści się cała na papierze dziesięciu cali powierzchni. Za pomocą elektrotypii nie wiele kosztującej, można będzie otrzymać miliony kopii tego papieru. Członkowie licznej rodziny zebrani wieczorem w salonie, wysłuchają fonografu czytającego w głos rzeczoną nowelę, z intonacyą, przestankami i wprawą najwyborniejszego czytelnika. Obecnie w New-Yorku organizuje się kompania mająca się zająć drukiem tego nowego rodzaju.

3) Fonograf śpiewać będzie głosem pani Patti albo Nilson; całe rodziny będą mogły co wieczór pozwolić sobie wysłuchać Operę bez wielkich kosztów.

4) Może służyć do nauki czytania dla ślepych po szpitalach, dla prostaczków którzy nigdy czytać się nie uczyli.

5) Tak samo służyć może i do nauki języków. Ja sprzedałem prawo użycia fonografu do uczenia dzieci abecadła. Jest już przyrząd który w ruch wprowadzony powtarza dzieciom dokładnie wymawianie liter przesuwających się przed ich oczyma. Gdyby Stanley naprzykład, miał z sobą fonograf, mógłby wybornie się nim posłużyć aby zapoznać świat uczony ze wszystkiemi dyalektami środkowej Afryki.

6) Może służyć do fabrykacyi zabawek dziecinnych, już założono towarzystwo mające wyrabiać lalki mówiące. Te lalki mówić będą dziecinnemi głosami.

7) Fonograf wejdzie w użycie pomiędzy artystami dramatycznymi, ażeby dobrze sobie wbić w pamięć stosowne intonacye ról rozmaitych. Sądzę zresztą że zastosowanie fonografu nie ma granic.

Edison studyował astronomią i wspólnie z profesorem Langlay z Alleghany University pracuje obecnie nad wprowadzeniem niektórych ulepszeń w budowie teleskopów.

Tomasz Alva Edison urodził się w Milanie w hrabstwie Eriê, 11 lutego 1847 roku, zatem ma dopiero rok trzydziesty pierwszy.

— Jak wiele posiadasz pan patentów na swe wynalazki? zapytałem.

— Przyznam się że nie wiem dokładnie, odpowiedział Edison zwracając się do swego buchaltera.

— Z tym cośmy dziś otrzymali, rzekł ten urzędnik, będzie 157 patentów, oprócz 77 o które staramy się w Washingtonie.

— Pojmujesz pan że z tych zaledwo część dziesiąta ma znaczenie praktyczne. Największa ich liczba wzięta jest w celach zabezpieczenia i gwarancyi. Potrzeba u nas dziesięć do piętnastu patentów dla zapobieżenia ażeby nie wydarto jakiego użytecznego wynalazku. Naprzykład ten nowy fonograf potrzebować będzie na swą obronę ze dwanaście innych patentów oprócz swego własnego. Muszę brać patent na każdą zmianę, każdy nowy model jaki mi do głowy przyjść może.

Kiedy Edisonem owładnie gorączka wynalazków, zaledwo spać może. Czasem nie schodzi do swego mieszkania przez dni kilka, chociaż ono znajduje się o kilkadziesiąt kroków. Przez ciąg lat dziesięciu pracował on po ośmnaście godzin dziennie.

Edison jest wynalazcą elektro-motografu, za który otrzymał specyalny dyplom wyznaczony przez Stany Zjednoczone, za ważny, oryginalny wynalazek; także telegrafu zwanego *American district*, przyrządu automatycznego do telegrafu drukującego literami łacińskiemi, systematu *poczwórnego*, za który kompania Western-Union królewską pensyę mu wypłaca, oraz pióra elektrycznego służącego do kopiowania listów i cyrkularzy. Obecnie w Stanach Zjednoczonych 18,000 piór takich jest w czynnem użyciu w tych celach.

Następne opowiadanie charakteryzuje upartą pracowitość Edisona.

Ażeby udoskonalić telegraf automatyczny potrzeba było wynaleźć skład jakiegoś roztworu, któryby dał papier chemiczny tak czuły ażeby litery na nim mogły się odbijać z szybkością większą aniżeli dwiestu słów na minutę. Dzieła francuzkie podawały wprawdzie formuł kilka, ale te nie przekraczały wymienionej szybkości. Edison zdołał rozwiązać to zadanie za pomocą specyalnego przyrządu własnego wynalazku, opatrzonego w papier napojony odpowiednim roztworem. Aby dojść do tego rezultatu musiał on przewertować całą bibliotekę.

— Przychodzę raz wieczorem, opowiadał mi Johnson, i widzę Edisona siedzącego przed istną górą rozmaitych dzieł naukowych; księgi te piętrzyły się w około niego do wysokości co najmniej dwóch łokci. Sprowadził on je był z New-Yorku, Londynu, i Paryża. Dniem i nocą czytał je i czytał bez końca, nie jedząc jak przy tym stole, a nawet śpiąc najczęściej tylko w swym fotelu. Nareszcie po sześciu tygodniach takiej pracy, cała ta niezmierna ilość dzieł została przejrzaną, a wyciągi z nich ręką Edisona spisane, same tworzyły tom spory. Nadto w ciągu tego czasu zrobił on około 2,000 doświadczeń według formuł wskazanych i własnych kombinacyi. Dzięki temu ślęczeniu, próbom i doświadczeniom, Edison wynalazł nareszcie kompozycyą która mu dała żądane rezultaty. Na przyrządzonym nią papierze mógł on odbijać więcej niż 200 słów na minutę, przez drut telegraficzny trzysta kilometrów długi. Później doszedł do niezmiernej szybkości trzech tysięcy słów na minutę. Możnaby wątpić o takim zadziwiającym rezultacie, ale sam go sprawdzałem.

— Czy Edison wie, zapytałem, co się znajduje w tych tysiącznych flaszkach i flaszeczkach na półkach tego laboratoryum ustawionych?

— Bez wątpienia i najdokładniej, odpowiedział p. Johnson, on sam je nabył albo przyrządził. Skoro się dowie o jakim nowym preparacie, musi go mieć natychmiast w swojem laboratoryum, w przekonaniu że prędzej lub później służyć mu może do jakiegoś użytku.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. A. W. w Częstochowie. Zadania do Przyjaciela za łatwe i w pierwszem jest omyłka w ułożeniu. Wierszyk jakkolwiek z czuciem napisany, ale nie ma w nim zachowanych warunków, przez poezyą wymaganych.

Pani Józefinie A. w Iwaszkówce. Pod przybranem imieniem Mirona, pisze p. Mischau.

Pani Teresie R. w Pohorylce. Życzenie spełniemy. Drugi wierszyk w Przyjacielu Dzieci pomieszczony zostanie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 30 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem. — Biedna Marynia (wiersz). — Zatarg Wł. Łokietka z Krakowem (z drzeworytem). — Piętnastoletni kapitan. w Dodatku: Frank Osbaldyston.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 12 (24) Іюля 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Opis do N. 29.

(*Dokończenie*).

N. 4—5. Kapotka z białej angielskiej słomy.

Niezwykłej formy rondko kapelusza podszyte czarnym aksamitem, jest w środku przecięte i z jednego boku trochę w górę wygięte. Także z jednego boku nad wygiętem rondkiem dane sute ubranie, upięte jest z 12 cent. szerokiego skosu białego repsu i z 14 cent. szerokiego skosu ażurowej, paljowej jedwabnej gazy. Nad przecięciem ronda przypięte jest sute pióro paljowe (plereza). Repsowa 6 cent. szeroka paljowa wstążka przewiązana jest lekko z jednego boku pod brodą.



N. 1. Fartuszek formą sukienki dla dziecka lat 2—3.

N. 7—8. Parawanik do osłonięcia lampy od wiatru lub w nocy. Deseń do haftu dzierganego na ryc. 8.

Pięć skrzydełek parawanika odrobionych z lakierowanej trzciny i urządzonych do składania, zapełnia gładko rozpięta jasno-zielona materya, przykrojona podwójnie, pomiędzy którą daje się sztywny papier, a zwierzchnią część zdobi się kolorowym haftem. Na starannym doborze kolorów jedwabiu zależy piękność roboty deseń do haftu dzierganego podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 8. Na modelu liście, wąsy i gałązki robione były cieniem oliwkowym, kwiaty zaś i pączki jednym pięknym kolorem różowym, z żyłkami i supełkami ciemno-różowemi, a supełki zapełniające środek kwiatów jedwabiem czerwonawo-bronzowym. Na modelu cały parawanik miał 32 cent. wysokości, a kwaterki materyi po 20 cent. wysokości a 9 szerokości.



N. 3. Suknia z vêtement.

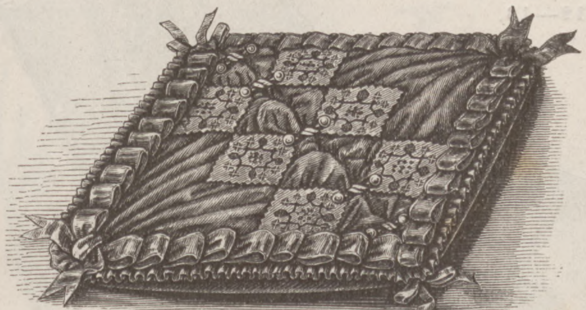
N. 9—10. Koszyczek do robót, dający się płasko rozłożyć.

Materyał: Szare i szafirowe płótno, bawełna do haftu i wstążeczka 1 i 3 cent. szeroka szafirowa, cienka tektura.

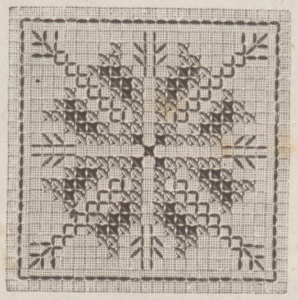
Na koszyczek opatrzony 3-ma kieszonkami, dający się gładko rozłożyć i zapakować do podróży kraje się dwa koła mające 26 cent. średnicy, z których jedno z szarego drugie z niebieskiego płótna; potem przykrawa się z tektury denko sześciokątne, mające 14 cent. średnicy, i 6 dopasowanych ścianek, mających 6 cent. wysokości, a 10 górnej szerokości. Na kółku z płótna szarego mającem stanowić wewnętrzną stronę koszyczka, odznacza się starannie ołówkiem denko i ścianki wycięte z tektury, na odznaczonych miejscach wyszywa się bawełną ponsową lub szafirową ściegiem krzyżykowym, stosowne deseniki, których znaczny wybor znajduje się w ubiegłych numerach Tygodnika Mód. Poczem pomiędzy szare i szafirowe płótno kładzie się denko z tektury, i ostębnowywa ściśle



N. 2. Sukieneczka pikowa dla dziecka lat 2—4.



N. 4. Pudełko do chustek od nosa. Patrz ryc. 5.



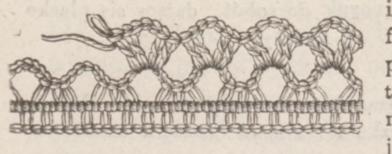
N. 5. Kwadracik wyszyty krzyżykami, do ryc. 4.



N. 6. Stanik z paskiem i baskiną. Patrz ryc. 7.

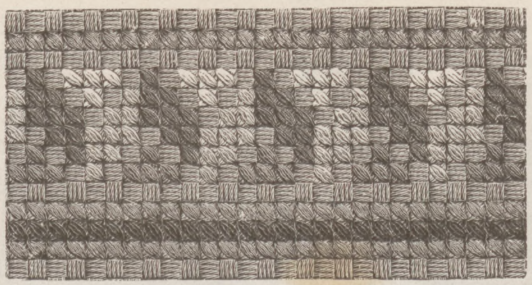


N. 7. Stanik z paskiem i baskiną. Patrz ryc. 7.

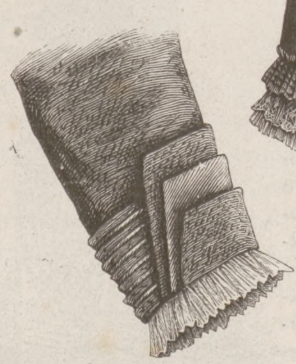


N. 8. Ząbki z mignardisse.

i równo w koło szafirową bawełną; pod trzy ścianki z tektury mające stanowić kieszonkę daje się szarą podszewkę nieco wystającą, drugie kawałki szarego płótna dopasone do formy ścianek, fastrzyguje się od środka do koła z płótna szafirowego, a następnie z boków kieszonki przestębnowywa razem. Nakoniec ścianki bez kieszonek wsuwa się między dwa koła płótna i stębnuje z boków w odstępach między ściankami daje się środkiem stębnówkę, brzeg górny kieszonek obejmuje wstążeczką, a brzeg koszyczka oprócz wstążeczki oszywa się koronką. Z zewnętrznej strony koszyczka, przy brzegach tekturowych ścianek przyszywa się wstążeczki, które ściśle związane na kokardki, nadają koszyczkowi kształt wskazany na ryc. 10. Pałączek 45 cent. długi robi się z kawałka fiszbinu oszytego płótnem; w końcach pałączka urządzone są uszka do nawłóczenia wstążeczki i przewiązania.



N. 18. Szlaczek do ryc. 17.



N. 12. Rękaw z potrójnym wykładem, do ryc. 14.



N. 14. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 15. i 12—13.

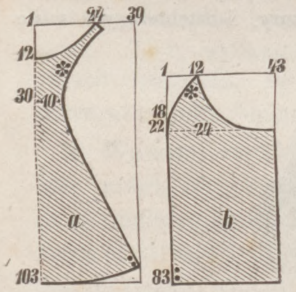


N. 10. Torebka na drobiazgi.



N. 16. Suknia z paletotem.

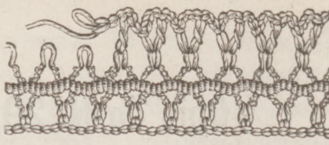
N. 11—12. Sukienka princesse z fałdowanemi plecami i z paskiem dla małych dziewczynek. Krój podług ryc. 31—32 w N. 14 Tygodnika Mód.



N. 11. Wskazanie kroju fartuszka ogrodowego, ryc. 36.

Sukienki z ciemno i jasno-popielatego płótna, garnirowane są plisowaniem 6 cent. szerokiem i pliskami 2—2½ cent. szerokiemi w górze oszytemi białą wypustką że sznureczkiem, u dołu ząbkami haftowanemi bawełną niebieską i ponsową. Na ryc. 11 widzimy plecy ułożone w głębokie fałdy, w stanie dwa razy przestębnowane, do dołu luźno puszczone. Ryc. 12 przedstawia sukienkę z paskiem 3 cent. szerokim, zapiętym z tyłu pod kokardą.

N. 13—14. Sukienka dla dzieci, robiona szydełkiem i zapinana z boku. Zobaczyć koronkę szydełkową na ryc. 14 w N. 25 Tygodnika.

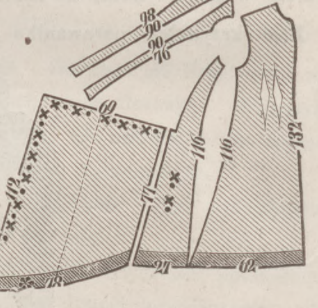


N. 9. Ząbki z mignardisse.

Model sukienki służącej dla dzieci lat 2—3, zrobiony był z włóczki angielskiej, niebieskiego koloru, zwyczajnym ściegiem tunetańskim. Robotę zaczyna się od dołu na o. 174, a dla otrzymania skośnych brzegów z przodu, zawsze co drugie obrobienie do lewej ręki, przybiera się na końcu przed ostatniem o. jedno oko, a wracając się wstecz, dwa przedostatnie o. zrabia się razem. Po 16 podwójnych obrobieniach w 17-tym rzędzie idącym na powrót zaczyna się gubienie, na które zrabia się razem o 14 z 15-em, 16 o. robi się pojedyńczo, 17 razem z 18-tem, dalej gubienie powtarza się w tym rzędzie w odstępie ocz. 18, 14, 1, 13, 1, 14, 17, 1, 16 i 27. W dalszym ciągu gubienie takie powtarza się najpierw w odstępie 8-miu rzędów, podwójnych, dalej w odstępie 7, 6, 5, 4 i 3 rzędów. Ma się rozumieć że liczba ocz. przedzielających gubienie zmniejsza się stopniowo, oczy jednak pojedyńcze pomiędzy gubieniem, zawsze wypadać powinny te same, czyli jedne nad drugiemi. Gdy w ten sposób spódniczka jest wykończona zaczyna się w dalszym ciągu stanik prosto zapinany, na ktory nad pierwszem i nad ostatniem pojedyńczem okiem rozdzielającem gubienie przybiera się po dwa o. przedzielane 2 o., które to przybieranie powtarza się 3 razy w odstępie dwóch obrobień tam i na powrót. Nakoniec obrabia się równo 4 razy tam i napowrót i dalej dla otrzymania pachy, robią się oddzielnie przody i plecy, które najlepiej dopasować podług formy wykrojonej z papieru, bacząc na dobre dopasowanie wykroju pachy i ramion, które następnie spaja się z lewej strony. Rękawy robi się



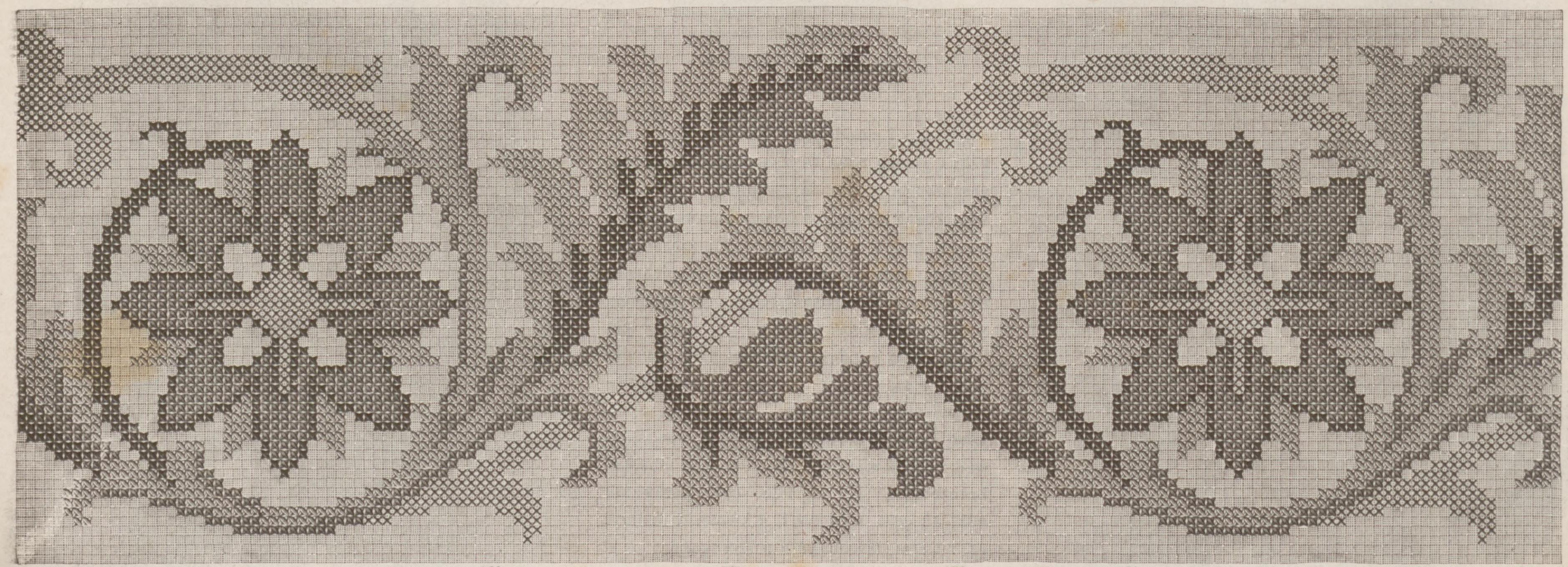
N. 13. Rękaw z mankietem związanem kokardą, do ryc. 14.



N. 15. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 14.

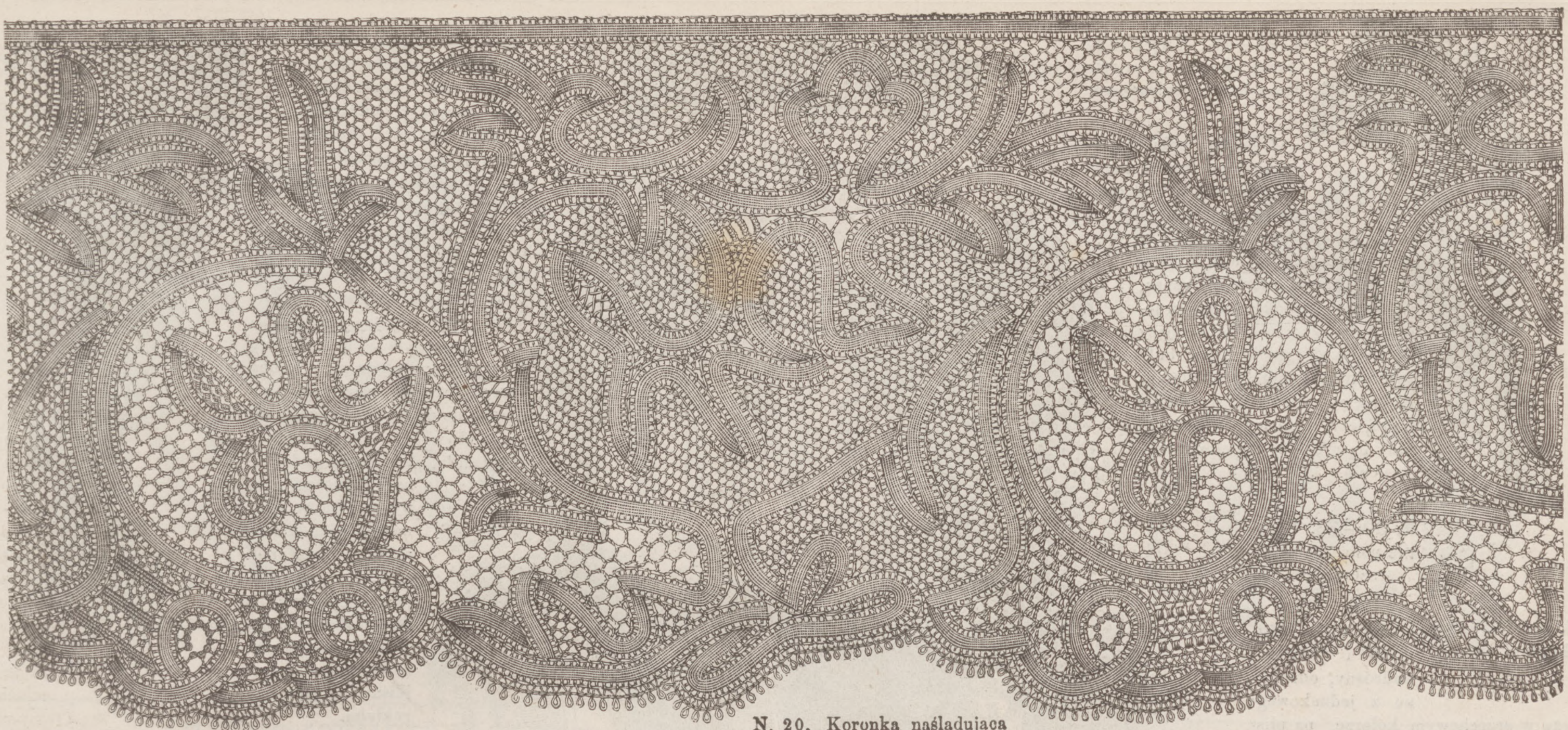


N. 17. Krzesło do altany ogrodowej, ozdobione haftem na kanwie Patrz ryc. 19.



Na liście arabeskowe najciemniejszy średni rezedowy najjaśniejszy, drzewna Na kwiaty czarny mastic wiśniowy średni rezedowy blado-niebieski.

N. 19. Deseń wyszycia na pas do krzesła ryc. 17.



N. 20. Koronka naśladująca dawne weneckie koronki.

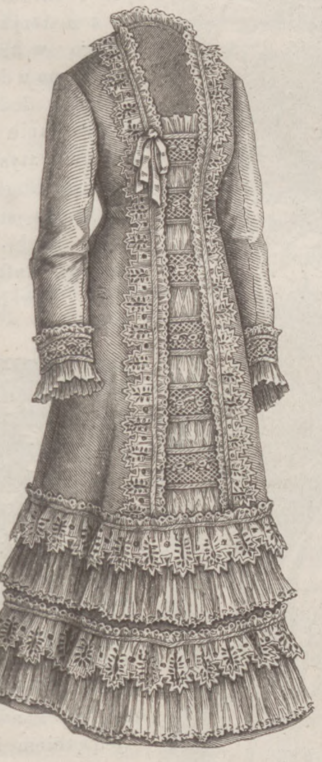
tam i napowrót, zacząwszy od dołu na o. 3 a przybierając stopniowo podług formy podług której także pasuje się górne zaokrąglenie. Wykończony rękawek spaja się z lewej strony i wszywa do wykroju pachy. Brzegi sukienki obrabia się dla mocy o. ści., a podłużny brzeg na wierzch zachodzącego przodu otrzymuje jeszcze 2 obrobienia ścisłe, przedzielone rzędem słupków.

Koronkę zdobiącą kaftanik robi się z włóczki białej, podług próbki podanej w N. 25 Tygodni Mód na ryc. 14. Kieszonkę zaczyna się na o. 20 i obrabia tam i napowrót razy 12. Do przodu zachodzącego na spód przyszywa się małe guziczki, a dziurki, do zapinania, stanowią odstępy pomiędzy słupkami.

N. 16—17. Riusze z muślinu albo crêpe-lisse, do sukień, czepeczków, lub chusteczek.

Falbanki drobno plisowane albo karbowane i rozmaicie układane ciągle równem cieszą się powodzeniem i są konieczne do wykończenia toalety, podajemy więc w zmniejszeniu, dwie próbki układania takowych. Ryc. 16 przedstawia krepę karbowaną, 5 cent. szeroką, ułożoną w potrójne kontrafałdy, i przeszytą krytym ściegiem w ten sposób iż górne fałdy rozkładają się wachlarzowo i stanowią sutą riuszę.

Na ryc. 17, widzimy 3 drobniutko plisowane muślinowe falbanki, stopniowanej szerokości, ułożone jedna na drugiej, w górze razem przestębnowane, a od dołu puszczone luźno.



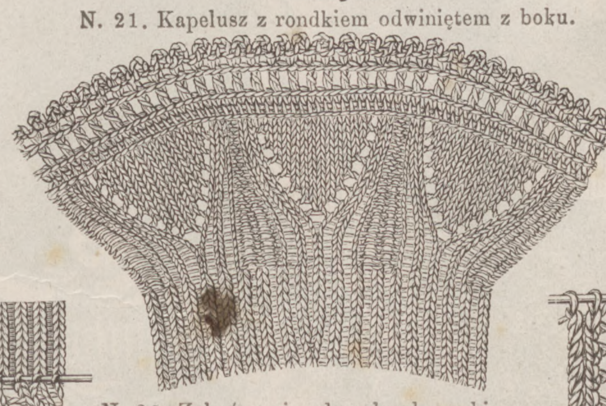
N. 22. Sukienka batystowa dla panienki lat 11—14. Patrz ryc. 23.

N. 20—22. Haft różno-kolorowy na poduszki, krzesła i t p. naszyty sznureczkami robionemi szydełkiem.

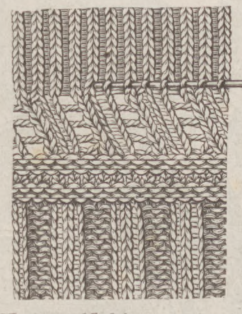
Materyał: Czarne sukno na tło; włóczka Crevel w kolorze cerisse różowym, błękitnym i dwa cienie mchowo-zielone, filozela w takich samych kolorach, biała i srebrno-popielata.



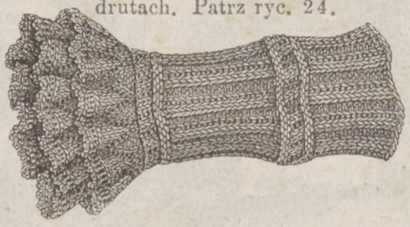
N. 21. Kapelusz z rondkiem odwiniętem z boku.

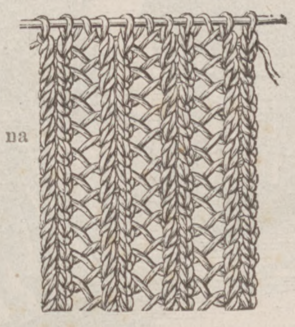


N. 25. Zakończenie do rękawka robione na drutach. Patrz ryc. 24.



N. 26. Nabieranie oczek na falbankę przy rękawku ryc. 24.





N. 27. Tło rękawka ryc. 24, robione na drutach.



N. 28. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

Kontury deseniu obrabia się ściegiem łańcuszkowym filozelą o 2 lub 3 nitkach, środki zaś figur zapełnia sznureczek szydełkowy, robiony oddzielnie z włóczki podwójnej, obrócony lewą stroną do wierzchu, układany ściśle jeden przy drugim i przyszywany taką samą pojedyńczą włóczką, ściegami krytemi. Na modelu środkowa gwiazdka była jasno-zielona, cztery otaczające ją figury błękitne, 4-ry wchodzące końcem w środek tych figur liście różowe, łącząca je wygięta arabeska cerise, listki mniejsze ciemno-zielone, 4-ry na zewnątrz arabeski kwiaty różowe, a półkola nad niemi niebieskie. Niezapełnione sznureczkiem ząbki robi się filozelą srebrno-popielatą, gałązki cierniowe białą, długie ściegi cerise, a listki płasko haftowane filozelą zieloną.

N. 23—24. Grzebyki do ubrania głowy.

Małe szyldkretowe grzebyki przed laty tak powszechnie używane następnie zupełnie zarzucone, dziś znów stanowią modną ozdobę głowy, i są używane nie tylko do podtrzymania w górę podczesanych włosów z przodu, ale i do przypięcia z tyłu pukli lub splotów, pomiędzy które skośnie bywają wkładane. Ryc. 23 przedstawia grzebyk szyldkretowy z ławeczką metalową, wyrobioną w gałki ażurowe złocone. Na ryc. 24 widzimy grzebyk z ławeczką szyldkretową.

N. 25. Paletocik z jedwabnego repsu. Krój podług ryc. 20—27 w N. 19 Tygodnika Mód.

Paletocik z dobrego, czarnego jedwabnego repsu, oszyty jest w koło riuszą z czarnej koronki, przeszytą w środku wązką torsadką przerabianą złotem. Szeroka przymarszczona koronka przyszyta jest u dołu i naszyta drugi raz wyżej nad riuszą. Nad koronką dane kilka rzędów torsadki przerabianej złotem, naszytej ściśle raz za razem zdobiącej także paletocik z tyłu wzdłuż pleców. Brzegi przodów podszyte są szeroką listewką z paljowego atłasu. Ubranie rękawów wskazane na rycinie 25.



N. 23. Sukienka z oksfortu. Patrz ryc. 22.



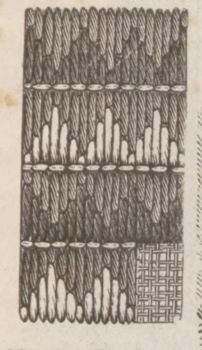
N. 27—28. Kapelusz czarny słomkowy, z rondem z boku podniesionem.

Z jednego boku w górę podniesione rondo kapelusza, podszyte jest czarnym aksamitem, a z brzegu objęte grubym sznurem złotym. Ubranie stanowi szeroki skośny kawał czarnego repsu, ułożony w głębokie fałdy, z jednej strony gładko otaczający główkę, z drugiej w rodzaj bufy podniesiony i metalową klamrą przepięty. Duże fryzowane pióro, przypięte w sposób wskazany na ryc. 28, dopełnia przystrojenie.

N. 30—33. Ubranie podróżne z płaszczykiem.

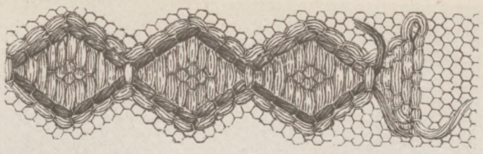
N. 29. Ubranko z koronki i wstążki.

Spódnica, vêtement i płaszczyk podróżny, odrobione z jednakowego beżu w orzechowym kolorze, na plisy i wypustki użyto materyi ciemniejszej. Płaszczyk cały podszyty fularem i oszyty frendzlą wełnianą, 14 cent. szeroką, wiązaną ciemniejszym jedwabiem Ryc. 30 przedstawia plecy płaszczyka i wskazuje sposób ich przybrania; formę podaliśmy w Grudniu w r. 1877. Takie ubranie bez płaszczyka, przedstawia ryc. 33; model odrobiony był z mohairu popielatego w dwóch cieniach. Na ryc. 31 podajemy zmniejszony rysunek i miary vêtement; pierwszą, dłuższą część przodu kraje się oddzielnie, część zaś drugą krótszą razem z boczkiem i pierwszą częścią pleców. Obiedwie części przodu (tak jak są zestawione na ryc. 31), zeszywają się od góry gładko na 72 cent., dalej część pierwszą zakłada się w drobne fałdki do długoś-



N. 34. Wyszycie na kanwie na pantofle itp.

ci części drugiej i zeszywa aż do dołu. Następnie prawy przód zeszyty z plecami, pozostaje z bocznego brzegu gładko, a lewy zaszyć trzeba w fałdki oznaczone na ryc. 31, do 50 cent. długości; potem górny brzeg draperyi dopełniający plecy trzeba ściśle



N. 31. Szlaczek wyszyty filozelą na tiulu.



N. 32—33. Uczesanie dla młodej osoby; kreza muślinowa; naszyjnik.

zfałdować do 15 cent., a fałdy raz jeszcze w odstępie 20 cent. przestębnować, przyszyć, odwrócić i przeprowadzić skośnie przez plecy, w sposób na ryc. 33 wskazany. Boczny brzeg draperyi 102 cent. długi, podpiąć w pukiel od gwiazdki do gwiazdki; tym sposobem brzeg skośny dolny podniesie się w górę i będzie mógł być zeszyty z przyfałdowanym przodem od gwiazdki do dwukropka; z drugiej strony brzeg draperyi przyszywa się gładko do niezfałdowanego brzegu, a zbywające 20 cent. wystają od dołu. Kieszonka ozdobiona pętlicami ze wstążki ma 20 cent. wysokości a 32 szerokości. Garnirunek z przodu przy spódnicy, złożonej z plisy i plisowań ma 16 cent. szerokości; bryty tylne oszyte plisami 8 cent. szerokiemi.

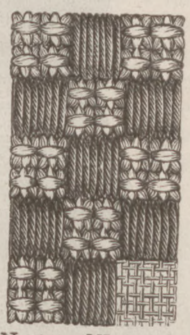


N. 30. Negliżyk muślinowy.

Opis do N. 30.

N. 1. Fartuszek dla dziecka lat 2—3.

Bardzo praktyczne dla małych dzieci są fartuszki osłaniające całe ubranie, z przodu puszczone a z tyłu lekko wcięte; model ryc. 1 odrobiony z materyału białego w krateczkę, ma u dołu pleców dodane plisowanie z białego batystu 16 cent. długie. Przybranie stanowią ząbki i wszywka haftowana bawełną



N. 35. Wyszycie na kanwie jedwabiem i włóczką.

granatową i ponsową, 2 i 5 cent. szerokie, przystębnowane wąziutką batystową pliseczką.

(d. n.)



N. 36. Fartuszek ogrodowy; patrz ryc. 11.

N. 37. Suknia strojna wizytowa zdobna riuszą haftowaną koronkową. Patrz ryc. 15.

N. 38. Sukieneczka dla dziecka.

N. 39. Sukienka z bluzkowym fartuszkiem dla małej dziewczynki.